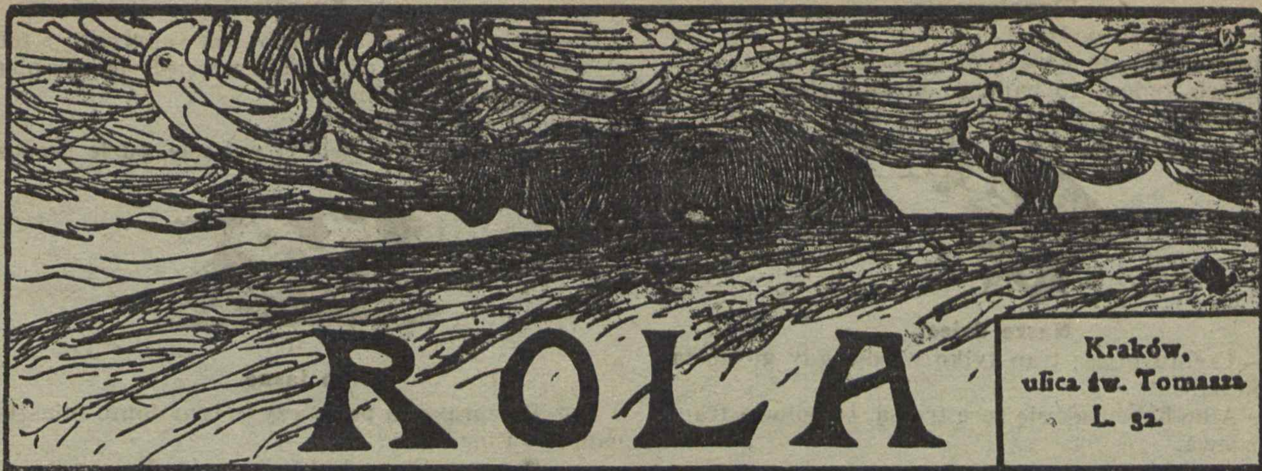
Numer 18. V-8760 Należ. poczt. opł. gotówką. Dnia 29 Kwietnia 1934



Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Stopniowanie.

Jeden żyd to nędzarz.
Dwu żydów, to kasa pożyczkowa na zastawy.
Trzech żydów, to bank międzynarodowy.



Nasze dzieci.

— Czemu pijesz tran tylko wtedy, gdy go dostajesz od babci?

— A bo babci tak się ręce trzęsą, że połowa tranu się rozlewa.



Odpowiedni wzrok.

— No, muszę powiedzieć, że pan ma zupełnie wyjątkowo krótki wzrok, takiego krótkowidza poprostu się nie spotyka... Jaki jest pański zawód, jeśli można wiedzieć?

— Jestem, panie doktorze, astronomem.



Tylko się nie kłócić.

Piperman i Kugelman kłócą się zawzięcie. Wreszcie Kugelman, wymieniwszy kilka cech charakteru Pipermana i jego wszystkie niegodziwości, rzuca:

— ...i zupełnie nie rozumiem, jak pan możesz przytem wszystkiem patrzeć mi jeszcze w twarz?...

— No, cóż panie Kugelman, do wszystkiego się można przyzwyczaić...

Kuracja.

— Człowieku, jesteś blady, jak śmierć, co z tobą?

— Nie dziw się, od sześciu miesięcy po raz pierwszy wyszedłem na ulicę.

— Co ci dolegało?

— Ten przeklęty deficyt w kasie, gdzie pracowałem.



To jasne.

— Przepraszam pana, czy w tym domu mieszkają państwo Fingerhut?

— Państwo Fingerhut tu nie mieszkają, natomiast na I. piętrze mieszka pan Finger, a na II-giem pani Hutowa.

— Doprawdy? Nie wiedziałem, że się rozwiedli.



Kuracja.

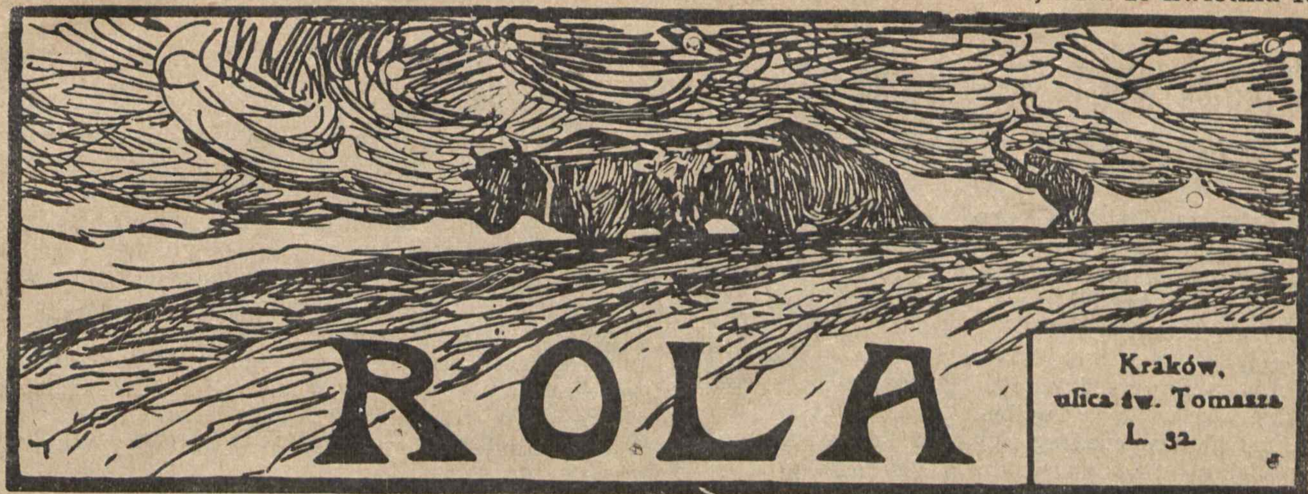
Żona: — No i co ci powiedział lekarz?
Mąż: — Polecił mi ruch i górskie powietrze.
Żona: — Doskonale. Pójdziesz w takim razie na górę i zrobisz tam porządek wśród rupieci, które tam leżą.

Higjenista.

— Więc pan się nigdy nie myje?

— A to po co? Przed południem noszę worki z węglem, a po południu worki z mąką.

Numer 18. Rok XVII. Kraków, dnia 29 kwietnia 1934.



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1934: Rocznie 12 zł., półrocznie 6·50 zł., kwartalnie 3·40 zł.; do Czechosłowacji rocznie 50 koron cz. półrocznie 27 kor. cz., kwartalnie 15 kor. cz.; do Francji rocznie 60 franków fr., półrocznie 30 fr., kwartalnie 15 fr. — Do Ameryki rocznie 3 i pół dolara. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji »Roli« 30 groszy Adres na listy do Redakcji i Administracii »Roli«: **Kraków, ul. św. Tomasza 32.**

Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406.301. Konto pocztowe w Czechosłowacji: Praga Poczt. Urząd Czekowy 500.868.

Znaczenie dostępu do morza

pod względem gospodarczym i politycznym.



Morze to okno na świat, morze to skarb i bogactwo każdego kraju. Państwa takie jak Anglja, Francja, Hiszpanja, Niemcy i wiele innych, słusznie chlubią się posiadanym skarbem. Nasuwa się pytanie, czy i Polska należy do tych państw, które mają dostęp do morza? Tak, Polska ma dostęp do morza — do morza Bałtyckiego. Przez dostęp do morza Bałtyckiego została otwarta dla Polski tania i wygodna droga do wszystkich krajów nadbałtyckich, jak do Litwy, Estonji, Łotwy, Finlandji i innych, a potem do wysoko pod względem gospodarczym rozwiniętych krajów Europy zachodniej, jak do Francji, Anglji, a głównie do Ameryki północnej i południowej. Aby wszystkie drogi wodne odpowiednio wyzyskać, każde państwo powinno mieć flotę handlową. I tak obecnie polska flota handlowa jest jeszcze w toku budowy, a przyszłych żeglarzy polskich wychowuje Szkoła morska w Tczewie. Handel wszechświatowy posiada charakter handlu morskiego, a stosunki morskie są rodzajem stosunków międzynarodowych. Stąd jest konieczny dostęp do morza. W roku 1917 Wilson wydał następujące orędzie pokojowe, które brzmi: „Każdy naród ma niezaprzeczone prawo dostępu do morza".

I dzięki tej zasadzie my Polacy uzyskaliśmy obszar brzegu nad Bałtykiem, chociaż samo ujście Wisły i Gdańsk, zostały wyłączone z pod panowania polskiego na kongresie Wersalskim.

Całe wybrzeże polskie wynosi około 140 km., z czego około 70 km. przypada na Hel. Główny port Gdańsk został poza obszarem dawnego państwa niemieckiego w charakterze Wolnego Miasta, w którem Polska otrzymała prawa suwerenne, ale pod opieką Ligi Narodów, która mianuje ze swego ramienia swego przedstawiciela w osobie Wielkiego Komisarza. To państwo, które posiada dostęp do morza, może dyktować swoje warunki na przewóz towaru, może nakładać na towary cła, może rywalizować z państwem, które dostępu jest pozbawione. Dlatego więc Polska jest w tem szczęśliwszem położeniu, niż n. p. Szwajcarja, Austrja i inne. Gdyby Gdańsk i korytarz polski został wcielony do Niemiec, to wówczas 80 procent handlu zagranicznego polskiego znalazłoby się pod kontrolą Niemiec. Dlatego też Polska musi korzystać z dostępu do morza, albowiem dostęp do morza staje się poważnym atutem w walce ekonomicznej, a przewaga ekonomiczna jakiegoś państwa nad innem staje się z czasem przewagą polityczną. Ta przewaga polityczna da się odczuć podczas wojny, kiedy handel i dostawa towarów odbywa się przeważnie drogą morską, i czasem na morzu odbywają się zacięte walki, jak na lądzie. Morze jest podstawą niezależności ekonomicznej i poniekąd politycznej. Naród, który jest pozbawiony morza, jest uzależniony od złej lub dobrej woli sąsiadów. Morze jest szeroką drogą, która łączy między sobą mnóstwo krajów i wszystkie części świata. Morze jest najtańszą drogą i środkiem komunikacyjnym. Morze nie należy do nikogo, nikt nie ma prawa przeszkodzić przejazdowi statków na morzu, chyba podczas wojny. Ponadto morze hartuje charakter, rozwija piękne cechy charakteru, odwagę, wytrwałość, energję i przedsiębiorczość. To też nic dziwnego, że wielcy zdobywcy i odkrywcy nieznanych krajów, odważni żeglarze, którzy bez lęku i trwogi opłynęli całą kulę ziemską i dotarli do biegunów. Poznaliśmy co morze jest warte. I tak każdy naród, a przedewszystkiem my Polacy powinniśmy o to polskie morze starać się i troszczyć, albowiem wiemy, jakich mamy wrogów, którzy wszelkiemi siłami wyciągają swe pazury, aby pochwycić i wyrwać nasz polski kurytarz. I cóżby Polska warta była w oczach potęg morskich bez kurytarza gdańskiego? I dlatego powinniśmy to polskie morze otoczyć szczególną opieką, bo ono oswobodziło nas z pod zależności od bezpośrednich sąsiadów, jak Niemiec i Rosji.

Ujście Wisły jest kluczem, który zamyka całe sklepienie budowy geograficznej Polski współczesnej. Gdyby ten klucz wyrwano, upadłoby całe sklepienie niezależności ekonomicznej Polski. A zatem miejmy zawsze w pamięci, że morze to potęga każdego państwa, że morze to okno i wrota otwarte na szeroki świat.

Stefan Kulis.

Człowiek sądzi — a Bóg rządzi.

Opowiadanie historyczne z końca XVII w.

(Przez Sta).

(Ciąg dalszy).

Młody, zadziwiającej urody mężczyzna, ubrany w podróżny, ale świetny strój rycerski, stał przed Orunem. Żyd kłaniał się nisko i wskazywał krzesło gościowi, który mówił żywo, nadzwyczaj miłym, ujmującym głosem:

— Z pewnością wiem, że branka, o którą mi chodzi, została przed półczwarta rokiem sprzedaną w Bałce, i że waść ją kupiłeś.

Orun gładząc według zwyczaju brodę i kłaniając się z wielką uniżonością, odparł z namysłem:

— Ja, proszę Waszej Wysokości, kupuję branki wszędzie, gdzie się zdarzy. Kupowałem i w Bałce nieraz i więcej niż jedną. Którąż to Wasza Wysokość raczy wykupić?

— Nie wiem wprawdzie, pod jakiem imieniem została sprzedaną i kupioną, ale w domu nazywano ją Ksenią i...

— Tak nazwanej dziewczyny nie było nigdy w moim odaliku — przerwał Orun.

— O, jak kłamie! — szepnęła za drzwiami Małka, która z bijącem sercem przysłuchiwała się rozmowie.

— Tedy ci powiem — zawołał rycerz — że to było dziecko tak wielkiej urody, że chyba drugiej takiej dziewczyny nigdy nie miałeś, więc powinieneś ją pamiętać. Przypomnij-no sobie dobrze: w maju minęło trzy lata, jak ją Tatarzy porwali, zawiedli do Bałki i tam to kupiłeś nieszczęśliwą.

— Tak, ja pamiętam — mówił Orun wolno, niby szukając w pamięci — było to w maju... tak, zdaje mi się, że w maju... przed trzema laty, kupiłem wtedy trzy dziewczęta, ale były już duże, więc ich długo nie trzymałem u siebie. Tak, może w rok później zostały wywiezione wraz z innemi do Carogrodu.

— Kiedy? Na Boga! Mów! I komuż je sprzedałeś?

— Pewnemu handlarzowi, a ten miał zaraz wysłać je do Egiptu, czy Azji? Nie pamiętam.

— Więc mówisz, że tylko tu rok była?

— Tak na pewne trudno twierdzić, może rok, może dłużej, nie wiem.

Piękny panicz biegał po pokoju niespokojnym krokiem, powtarzając do siebie:

— To niemożliwe! To niepodobna! Tu musi zachodzić jakaś pomyłka.

Orun wzruszył nieznacznie ramionami, a rycerz zatrzymał się nagle tuż przed nim i rzekł:

— Słuchaj waść. Dam ci sumę, jaką sam zechcesz, ale pokaż mi wszystkie twoje dziewczęta. Jak sobie którą wybiorę, to na wagę złota ją kupię.

Oczy żyda zabłysły chciwością, lecz wnet przygasły, a on spytał z wahaniem:

— A jak się żadna Waszej Wysokości nie spodoba?

— To nie kupię. W każdym razie zapłacę ci za samo pokazanie, ile sam zechcesz, ale mi pokaż wszystkie, pamiętaj wszystkie!

— Na usługi Waszej Czci jestem ja i cały mój odalik — zawołał Orun najuprzejmiejszym głosem. — Ja zaraz każę się dziewczętom zebrać tak, aby Wasza Wysokość mogła wszystkie widzieć, a sama być nie widzianą. To nie potrwa długo. Tymczasem Wasza Cześć raczy spocząć.

Tu żyd wskazawszy krzesło i ukłoniwszy się nisko, wyszedł spiesznie z triumfującym uśmiechem na ustach.

Ale stroskany rycerz nie myślał spoczywać. Chodził po pokoju zamyślony, a na jego pięknej twarzy malowały się z kolei uczucia rozpaczy, niepokoju i nadzieje.

Wtem gdy młodzieniec stanął na chwilę przy oknie, usłyszał za sobą szelest, a odwróciwszy się, ujrzał tuż przy swojem ramieniu twarzyczkę pociągłą, piękną choć pobladłą, otoczoną puklami kruczych włosów i wielkie czarne oczy wpatrujące się w niego z natrętną badawczością i wielkim niepokojem; różowe zaś, małe usteczka szeptały zdyszanym cichym głosem:

— Kto jesteś rycerzu? Mów, mów prędko, kto jesteś?

Panicz zdumiony przypatrywał się pięknemu dziewczęciu, które nie mogąc się doczekać odpowiedzi, chwyciło go za rękę i szarpiąc nią prawie, z wielką gwałtownością wołało:

— Na miłość Bożą, mów! Kto jesteś? Jak cię zowią? Bo tu może o twoje szczęście, i o szczęście a może i o życie kogoś drugiego chodzi. Powiedz prędko, kto jesteś?

— Jestem pułkownik Mirski, ale doprawdy nie pojmuję...

— A na imię ci Stefan? Powiedz, tak? — przerwało natarczywie dziewczę.

— Tak jest. Ale...

— A jak na imię twej narzeczonej? Mów!

— Wytłómacz się waćpanna, bo nie rozumiem do czego zmierzają...

— Tylko jeszcze na to jedno pytanie mi odpowiedz, bo ja muszę mieć pewność, a zaraz wszystko zrozumiesz. Ale prędko, prędko! Kto jest twoja narzeczona, jeśli ją masz?

— Starościanka Silnicka, Ksenia jej na imię, lecz proszę...

— Bogu niech będą dzięki! — wykrzyknęła Małka, bo ona to była, a następnie pochyliwszy się do ucha rycerza mówiła po cichu a szybko:

— Ksenia tu jest! Orun kłamie, nigdzie jej nie wywoził. Udaj, że nic nie wiesz, dziewczęta zobacz. Ja wam dopomogę, bo Ksenię kocham, ale teraz nie czas na rozmowę. Dziś o dziesiątej wieczorem bądź waćpan na grobli, pomiędzy stawami, przy parkanie od ogrodu. Tam się dowiesz wszystkiego. A milcz, panie pułkowniku, i nie daj nic poznać po sobie, Orun ma sokole oczy. Pamiętaj!

Wyszeptawszy to z nadzwyczajnym pośpiechem furknęła Małka ku drzwiom, znikając tak nagle jak się ukazała.

Pan Mirski był jakby piorunem rażony, tą radosną wieścią. Ksenia jest tu, tak blisko, czy to podobna? A kiedy tylko jest, to ją wydostanie, choćby miał życie położyć. Tak, wydostanie ukochaną narzeczoną, o tem nie wątpił ani chwili. I będzie koniec niedoli, cierpieniom, łzom, rozpaczy i niepewności tak jego, jak tej biednej, od wszystkich opuszczonej sieroty.

Lecz z radością mieszało się w umyśle pana Stefana ogromne zdziwienie, jakiem go przejmował niezwykły sposób dowiedzenia się o Kseni. Tysiączne myśli cisnęły się do głowy pułkownika, ale nie było czasu na domysły i rozmyślania. Zaledwie za Małką drzwi się zamknęły, ozwały się zdaleka kroki wracającego Oruna.

Pan Mirski tylko nadzwyczajnym wysiłkiem woli zdołał pokryć wzruszenie i zachować jaki taki spokój.

Lecz nic nie rozumiał, co do niego żyd mówił. Orun kłaniając się coraz niżej poprowadził pułkownika do ogrodu, stamtąd zaś do małej zakrytej altany, z której okien był widok na obszerny trawnik.

Ledwo pan Stefan wszedł do altany i stanął przy oknie, cały trawnik zaroił się gromadą młodych, pięknych dziewcząt.

Wszystkim swoim wychowankom od dziesięciu do osiemnastu lat, rozkazał Orun wyjść do ogrodu przechadzać się i bawić. Tylko Kseni polecił zostać w pokojach i Małce przykazał, aby się nie ważyła wyjść z odaliku.

Pułkownik lubo był prawie pewien, że Kseni nie zobaczy pomiędzy dziewczętami, przecież przyglądał im się nadzwyczaj pilnie. A to dlatego, że najpierw obawiał się zbudzić podejrzenie Oruna, gdyby ten spostrzegł jego obojętność, potem chciał zebrać myśli i uspokoić się, a wreszcie upewnić, że starościanki nie chciał mu żyd pokazać i że jej w ogrodzie rzeczywiście nie ma.

Godzinę więc stał przy oknie, aż nakoniec zwracając się do Oruna, który śledził każde poruszenie pułkownika, rzekł:

— Nie ma tu tej, którą pragnąłem posiadać. — A inne dziewczęta, choć piękne są bardzo, nie mogą iść w porównanie z Ksenią. Ja spodziewam się odszukać ją, choćby na końcu świata.

Orun uśmiechnął się nieznacznie a bardzo złośliwie i na zapytanie pana Stefana, ile te oględziny kosztują, podał bardzo znaczną sumę, którą pan Mirski bez targu zapłacił.

Chcąc zaś oddalić choćby cień podejrzenia, prosił jeszcze o adres owego handlarza, który to niby Ksenię kupił. Orun powiedział pierwsze lepsze nazwisko, jakie mu na myśl przyszło i wśród tysiącznych ukłonów, wyprowadził niezwykłego gościa aż na ulicę.

Tymczasem Ksenia, zaniepokojona rozkazem Oruna, aby nie wychodziła z domu, przechadzała się zamyślona po sali, przeczuwając coś nadzwyczajnego.

Wtem Małka wpadła do pokoju jak burza i rzucając się na szyję starościance, zawołała:

— Kseniu, Kseniuś! Ach! ciesz się! Twój rycerz tu jest! Widziałam go! Obiecałam pomoc! Orun skłamał, ale twój narzeczony wie prawdę, ja mu powiedziałam, że tu jesteś! Dopomogę wam, jutro uciecziecie! Ciesz się Kseniu! Skończona twoja niedola, już się nie będziesz smuciła! A jaki piękny ten twój rycerz!

I znowu Małka zaczęła ściskać starościankę, która słuchała jej z szeroko otwartemi oczyma, nie przerywając.

A gdy Małka zamilkła, Ksenia przycisnęła ręce do piersi, potem chwyciła się za głowę, która niebawem opadła bezwładnie na ramię przyjaciółki.

Małka przestraszyła się bardzo i nie wiedziała co począć na razie, ale w tej chwili ujrzała przez drzwi szklane przechodzącą kurytarzem Jerynę, zawołała więc na nią głośno:

— Jeryno, bywaj no tu! — Bywaj, a spiesz się!

Jeryna przybiegła i przerażona chciała pytać, ale Małka stanowczym ruchem ręki nakazała jej milczenie, więc piastunka szepnęła tylko:

— Do ogrodu z nią trzeba panienko, do ogrodu!

— Nie, nie, tam Orun! — gdyby zobaczył, zarazby się czego domyślił. Zanieśmy Ksenię do sypialni.

Małka już dawno uprosiła Oruna, że obie ze starościanką sypiały w jednym pokoju.

Złożywszy więc zemdloną na sofie, Małka chciała biec po wodę, ale Ksenia otwarła oczy, podniosła się i nie mówiąc ani słowa, padła na kolana; podczas gdy Małka szeptała Jerynie do ucha wesołą nowinę.

Uszczęśliwiona kobieta miała ochotę krzyczeć, śmiać się i śpiewać, taka szalona ogarnęła ją radość; lecz spojrzawszy na starościankę, wstrzymała się. Całem ciałem wzruszonego dziewczęcia wstrząsały tłumione łkania, lecz po chwili w głośny płacz się zmieniły.

— Panienko, gołąbko, serdeńko! — wołała Jeryna, obejmując Ksenię.

— Czegóż ty płaczesz? Toż teraz, gdy tu jest pan pułkownik, jakbyśmy już wybawione były...

— Pozwól mi Jeryno łzami Bogu dziękować, — szepnęła Ksenia — bo ja teraz inaczej nie umiem. — A serce mi się wyrywa z radości i chce iść aż do tronu Bożego i tam wypowiedzieć wszystko, co czuje w tej chwili.

I płakała długo i serdecznie, tak ciężko doświadczona sierota, która przez trzy i pół roku znosiła z odwagą swoją niedolę, nigdy nie wyrzekała, nigdy się nie skarżyła i nie zwątpiła w pomoc i opiekę Bożą. Ale to biedne, mężne serce, było tylko sercem ludzkiem, więc je przejmowała boleść, żal, smutek, tęsknota i gorycz nawet; bo Ksenia sądziła, że oprócz Boga, nikt już o nią nie dba, nikt o niej nie myśli, że wszyscy zapomnieli, opuścili. Więc teraz ze łzami spływało to wszystko, co sercem szarpało i rozsadzało ją bólem.

Wypłakawszy się i podziękowawszy gorąco Panu Bogu za zesłany ratunek, jęła Ksenia wypytywać Małkę o najdrobniejsze szczegóły. Żydóweczka z radością opowiadała wszystko, co słyszała i co sama mówiła. Ale gdy Jeryna okazała chęć udania się do ogrodu, aby zobaczyć i porozumieć się z pułkownikiem, a nawet starościanka chciała uciekać tego samego wieczora, Małka, z przebiegłością właściwą swemu plemieniu, oparła się stanowczo, mówiąc:

— Nie, nie; ja tylko sama pójdę do pana Mirskiego i ułożę z nim wszystko. Wy ani na krok nie ruszcie się dziś z odaliku i nie wychodźcie wcale do ogrodu; w ten sposób unikniecie podejrzenia. Ja zaś uproszę Orunową, abym tę ostatnią noc mogła przespać w jej izbie, a wieczorem pożegnać cały ogród. Odalik zamykają już o dziewiątej, w ogrodzie niema żywego ducha, więc mnie nikt nie podpatrzy. A w małym domku wiedzą wszyscy, że jutro po ślubie odjeżdżam, nikogo też moja samotna przechadzka po ogrodzie nie zadziwi. Bądźcie tedy spokojne i spuśćcie się na mnie, że wszystko przygotuję jak należy. Orun z nami jedzie, więc niepodobna, aby się wam ucieczka miała nie udać.

Tak Jeryna, jak Ksenia, uznawszy słuszność przedstawień Małki, powierzyły w jej ręce całą sprawę i były pewne, że sprytne dziewczę zawodu im nie zrobi.

— Ja ci bardzo dziękuję i wdzięczną jestem Małko — rzekła Ksenia, gdy już żydówka miała wychodzić, — że chociaż moja ucieczka dotknie ojca twego narzeczonego, nie wahasz się podać mi ręki.

— Widzisz Kseniu — przerwała Małka szybko — ja się pytała mego sumienia, czy się godzi, bo dopomagając tobie do ucieczki, to tak jakbym zdradzała ojca mego przyszłego męża. Ale gdy pomyślę, że Orun tem kupowaniem dziewcząt wielką im krzywdę czyni, a nadto, że ciebie chciał pan pułkownik wykupić za sumę, jaką sam Orun nałoży, a on jednak nie chciał, tylko cię do hańby w sułtańskim haremie przeznaczył, to sumienie mi mówi, żem powinna ci dopomóc. Przecież ty mnie uczyłaś i sam rozum to po-

twierdza, że każdy, kto może, nie przeszkodzi zbrodni, to grzeszy i jest wspólnikiem zbrodniarza. A potem ja dla Oruna nie mam żadnych obowiązków, bo był moim wielkim nieprzyjacielem i tylko prośby żony i rozpacz syna skłoniły go, że mię nie sprzedał, ale pozwolił pojąć za żonę Jakóbowi. Tobie zaś Kseniu, jam tak wiele winna! Ty jeszcze sama nie wiesz, co ja ci zawdzięczam, jutro się dowiesz.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Który serce zaspokoi?...

Nowela — zdarzenie prawdziwe.

Na skraju lasu, cyganie rozbili dwa namioty, jeden drugiego blisko siebie, cyganie jak cyganie, — wszystkim wiadomo, umią wróżyć, — i chcą. Lecz lud wiejski nie bardzo się kwapi na te wróżby, bo jest wierzący i religijny, a przecie ksiądz w kościele uczył, że wierzyć wróżbiarskim przepowiedniom jest grzech.

Ale są i tacy, którzy wierzą! A zwłaszcza dziewczęta, one to są ciekawe o swoich losach życia panieńskiego, — kto się z taką dziewczyną ożeni, — i kiedy.

Frania, córka gospodarska, wybrała się w niedzielę popołudniu z koleżankami pod las do cyganów, dać sobie wróżyć. Jedna cyganka wywróżyła jej — blondyna, „że ten jej serce zaspokoi".

Zapłaciwszy kilkanaście groszy odeszła i poszła do drugiego namiotu, tu znowu dała sobie wróżyć drugiej cygance, ta oświadczyła jej solennie, żeby słuchała szatyna.

France teraz dopiero w głowie się zamąciło, bo któremu tu wierzyć? — blondynowi, czy szatynowi?...

— Blondyn, to musi być Staszek — tak to on! O jej! Jak ją wczoraj chwycił za domem za ramię to...

Ale cóż, Staszek jest biedny, choć ta jedynak, ale i tak niema się na co łakomić, te kilka morgów pola, to zamało!

Matka go lubi, bo z niego chłopak sprawny. Ale żeby znów na zięcia... Franka by go chciała, on by jej serce „zaspokoił!" Ale rodzice czyby się zgodzili?

A znów szatyn, to musi być ten Jędrek piegowaty, — ale i jej idzie już na rok osiemnasty, a sąsiadka Józia przezywała ją w złości, że zostanie starą panną, chociaż sama już ma lat 27.

Jędrek całkiem co innego, gospodarki wprawdzie niema, ale lepszy on jest niż gospodarz, bo na folwarku rządzi, i nawet pierścień nosi, a paznokieć u małego palca taki wielki ma, jak orzeł górski, znak że nie potrzebuje robić.

— Jakbym za niego wyszła, pomyślała Frania, ale by mię wszyscy ludzie poważali.

Przeskoczyła przez rzekę i usiadła ze zmęczenia.

W tej chwili, — aż ją kolka ukłuła, od strony wioski nadjeżdżał powóz elegancki, zaprzężony w dwa spaśne kasztany. W powozie rozparty jak jaki hrabia siedział Jędrek.

Dziewczyna skryła się przed nim za krzakiem tarniny i pobiegła migiem do domu na bliższe, tak, że jeszcze zdążyła gościa wprowadzić do izby.

Zaraz przeszła do „izdebki", wyjęła ze skrzyni lusterko, oparła go o doniczkę z pelargonją, potem usiadła na stołku i jęła zaczesywać włosy. Po chwili drzwi się uchyliły i ukazał się w nich ojciec.

— Franiu! Jesteś nareszcie! Jędrek przyjechał! idźno prędzej!

— Zara idę! — Takem się zgrzała, muszę się przecie ogarnąć! — odparła. Obmyła ręce, twarz otarła ręcznikiem, na włosy nakropiła perfum, które dostała od św. Mikołaja, zawiązała jedwabną chustkę i wysezła do Jędrka. Za małą chwilę zauważyła, że za oknem kręci się Staszek i natarczywie zagląda do izby.

Matka postawiła na stole kiełabsę pokrajaną w talarki i flaszkę imbirówki. Zasiadł do stołu i ojciec i siostra Frani, Hanusia, zaczęto trącać się kieliszkami, a Jędrek wzniósł zdrowie matki, potem panny Frani. Dziewczyna także przepiła do Jędrka, a wówczas i jej zrobiło się jakoś wesoło i beztrosko. A niech tam! Będę „rządcową" i już!

I zaczęła Franka z zadowoleniem się uśmiechać, uśmiech ten zauważył Jędrek.

— Do kogo to panna Frania tak się uśmiecha? — przerwał jej myśli Jędrek, przechylając się ku niej za stół. — Myślałem że to do mnie, ale Frania patrzy gdzieś w ścianę.

— Ja tak nie mam zwyczaju zaraz się uśmiechać do kogo, jak tylko poznam — odcięła się Frania.

— A jak lepiej Frania mię pozna, to się uśmiechnie? Co? uśmiechnie się?

— Jak lepiej poznam, to albo się uśmiechnę, albo się odwrócę! Roześmiała się, błyskając zębami.

Nagle zauważyła cień Staszka za oknem. Teraz i matka go zuważyła. Byłoby się może dostało Stachowi, gdyby nie to, że Jędrek wstał i zaczął się żegnać. Jeszcze raz się ukłonił, usiadł do powozu i odjechał.

Co tylko znikł za rzeką, aż tu z zakrętu wyłonił się wózek zaprzężony w chudą szkapinę, a na nim Władek — brat Frani.

— Coś ty się tak Władek zabrał do drogi po dziadowsku! — zagadnął ojciec swego syna, bo mu przyszło na myśl, że przyszły mąż Frani, może się dowiedzieć, że to jego syn, a tak licho ubrany i takim chudym koniem jeździ.

— Nie każdy ma znajomych, co mu cudzych koni pożyczą, kwaśno Władek odpowiedział.

— Niby to komu cudze konie pożyczają? — spytał ojciec.

— E, dajcie mi teraz spokój! Zmęczonym taki; ale zauważywszy kieliszki na stole, zdjęła go pasja.

— To wyście tu tak Jędrka częstowali! — zawołał ciskając kapelusz na łóżko. — To wyście go paśli i poili jak co dobrego?

— Władek! nie czepiaj się go! — zawołała oburzona matka. Że mu się nasza Frania spodobała, to nie grzech, przecież za żonę ją chce! A tybyś se to nie życzył, żeby ci się siostra wydała, i to za „rzojcego?"

— Taki on rządca, jakem ja hrabia — zakrzyknął Władek. — Patrzę, jedzie przez Porębę powozem proboszcza, a wiem, że proboszcza już dwa tygodnie niema w domu, bo wyjechał na kurację do Zakopanego, więc myślę se, co to ma być?

Aż tu Edek wójtów mówi: To ty nie wiesz? do twojej siostry pojechał, a koni i powozu pożyczył mu brat księdza proboszcza, bo winien temu „panu rządcy Jędrkowi" dwieście złotych. To mu teraz na swatach pomaga, żeby potem miał jak dług odebrać z Franinego posagu. Już byłbym Edka prał! Bo o mało mnie krew nie zalała, ale zaprzysiągł się, że to prawda, no i inni też przyznali, że jest prawda.

— A skąd ten wasz rządca ma wziąć na długi, co ich ma sam nie wie ile? Więc na to jeździł do was! Po twój majątek Franiu jeździł!

Tu dziewczyna już nie wytrzymała i wybuchnęła płaczem:

— O! Dejcież mi już spokój! Jezusie! Co się to dzieje? Za co to na mnie, a co ja temu winna?

A Władek dalej mówił: Jakbyś się miała wydać za Jędrka, to już wolałbym takiego Ignaca Kuligowego z granic, czy innego robotnego parobka.

Frania uspokoiła się nareszcie z miłem wspomnieniem o Staszku, ale też i w duchu gniew ją brał na cygankę, która kazała jej słuchać szatyna, bo gdyby nie rady cyganki, to pewnieby inaczej myślała o Jędrku i nie byłaby go tak przyjęła.

Władek spojrzał z ukosa na siostrę, a ta otwarła szeroko usta i głęboko się zamyśliła.

— Franka! Bój się Boga! Opamiętaj się! Co ci się dzieje? zaczął Władek. Ale ona pędem wybiegła z izby trzasnąwszy drzwiami, wlec'ała do stajni i skryła się w ciemnym kącie za krowami.

Teraz dopiero zrozumiała rolę cyganki, to przecież Władek, jej brat, co przed Jędrkiem ją ostrzegał, miał włosy ciemne, jeszcze ciemniejsze niż piegowaty Jędrek. Nie wiedziała co ma robić ze wstydu! To Władka miała cyganka na myśli, gdyż kazała jej słuchać szatyna, a Władek był szatynem.

W tem czyjeś ramię objęło ją mocno i serdecznie.

— Oj, Staszek! — szepnęła.

—Franiu! Czegoś się ty tu skryła?

— Staszku! Przebacz mi — błagała, chciałam cię zdradzić, ale wybacz mi to! już twoją będę na zawsze, już cię nigdy nie zdradzę!

Rozżalona była bardzo na Jędrka ,na cały świat. Przysunęła się bliżej ku Staszkowi i przenikało ją powoli błogie, ufne zapomnienie:

„Blondyn serce zaspokoi!" mignęła jej jeszcze myśl ostatnia.

W mroku brzęknął łańcuch krowy chrupiącej koniczynę. *Stanisław Jucha.*

Miesiąc kwiecia.



U nas w Polsce każdy miesiąc ma swój urok. Po wietrznym, chłodnym, przeplatanym naprzemian deszczem i śniegiem marcu, nadszedł miesiąc kwiecień, w tym roku słusznie kwietniem nazwany. Bywa bowiem, że kwiecień podobny jest zupełnie do marca, w którym to miesiącu cała przyroda jeszcze spoczywa, promienie słońca są za słabe, nie mogą pobudzić do nowego życia.

Puszystym całunem kwiecia bieleją sady, ogrody, parki. Cała przyroda zbudzona ze snu ciepłemi promieniami słońca, zrywa się do nowego życia.

Szare pola i łąki nabrały też koloru życia, koloru zieleni, — ubarwione też białem lub żółtem kwieciem.

A w tych naszych sadach, ogrodach, parkach ileż to życia i radości wygłaszają nasi skrzydlaci przyjaciele, nucąc radosne piosnki od wczesnego ranka. — A właśnie w tym miesiącu kwietniu tej radości wśród tej skrzydlatej rzeszy najwięcej widać. Wziąwszy za przykład naszego skowronka, w żadnym innym miesiącu może tak często nie wzbija się w górę i tak radośnie nie śpiewa, jak właśnie w miesiącu kwietniu.

Zbudzone ze snu promieniami słońca motyle i pszczółki oblatują z kwiatu na kwiatek, brzęcząc, cieszą się wraz z całą przyrodą, że i dla nich skończył się czas niedoli, czas zimy, a nastała ciepła, radosna wiosna. Cieszą się i radują na widok tego kwiecia, na który szereg miesięcy z tak wielkiem upragnieniem czekały.

Nawet najbardziej ponury ze śmiertelników staje się wiosną mniej zamyślony. Nawet największy materjalista musi się cieszyć ze zmartwychwstania kwiatów.

Nie zawsze zdajemy sobie sprawę z tajemnego czaru, jaki rozsiewają wokoło siebie kwiaty. Gdy wyobrazimy sobie świat bez kwiatów, ogarnia nas przerażenie przed jego zimną martwotą i wtedy dopiero zdajemy sobie sprawę z barwności, piękna kwiatów, z niesłychanej rozmaitości ich kształtów.

Weźmy choćby tylko śniegułkę. Przypatrzmy się jej smukłej, prześlicznej sylwetce. Czy może być coś piękniejszego od tego maleńkiego cudu? Jakie siły wyczarowały ze zmarzniętej jeszcze ziemi jej cudny, leciuchny kształt? Energja, która pracowała nad stworzeniem tego ślicznego kwiatuszka, nie może być ślepa i bezcelowa. Gdy patrzymy na „gotową" śniegułkę, godzimy się z jej istnieniem równie spokojnie, jak godzimy się z istnieniem samochodów lub samolotów. Dlatego nie zastanawiamy się nigdy nad tem, jakim sposobem została „wymyślona" śniegułka i w jaki sposób stała się ona rzeczywistością? Nauka nic nam o tem nie mówi. Nie jest bowiem w mocy nauki wytropić twórczą potęgę, która najpierw wy-

myślila, a potem stworzyła śnieguikę. Jakaś wielka siła musiała pracować nad obmyśleniem jej i ukształtowaniem, zanim nasza skromna roślinka znalazła się wśród istot żyjących. Jest to mały cud, w którym kryje się tajemnica wszystkich innych cudów, tajemnica powstania wszechświata, razem z człowiekiem, który stara się zrozumieć znaczenie istnienia swego i istnienia wszystkiego naokół. Mały kwiatek jest równie tajemniczy, jak świetlista droga mleczna, jak czas i przestrzeń, albo jak niezrozumiała siła — światło.

Czemu mamy wrażenie, że kwiat jest istotą skończoną i szczęśliwą? Jego życie jest króciutkie! A jednak stoi tak spokojnie, z podniesioną główką. Cieszy się życiem jeszcze intensywniej, niż umierający w kwiecie lat człowiek. Wszystkie kwiaty budzą w nas wrażenie istot wypełniających całkowite swe przeznaczenie, istot w pewnym sensie doskonałych i szczęśliwych. Żyją swem własnem życiem, w swoim tajemniczym świecie. A my jesteśmy pewni, że to jest szczęśliwy świat, bo piękność jest wyrazem radości. Odczuwamy obecność jakiejś radości w kwiecie. Od kwiatów wprost spływa na nas świadomość jakiejś ich radości. Obdarowują nas swojem szczęściem, choć nie wiemy, co jest istotą tego szczęścia, ani jak ono powstaje.

Nie możemy wytłomaczyć, jak i dlaczego kwiaty wywołują w nas powstanie tak wielkiej, jasnej radości. Nasza zdolność do przyjęcia tego uczucia od kwiatów jest dla nas również tajemnicą. Ale wiemy, że ta sama potęga działa i w nas, że w pełnym sensie jesteśmy braćmi kwiatów.



Maciek Bzdura gada:

W tamtą niedzielę przysła Wojtkowa z pod lasa raić mi zeniackę. Upatrzyła mi gdowę po Jacentym Cielęcinie, co umar w poście ze starości na śmierć. Jak mi zacęła opowiadać, wiele majątku zostało po nieboscyku Jacentym, to dopiro uźrałem, co warta taki prync jak ja, co tako bogato gdowa się w niem zakochała, jako Jacentowo, co mo sześć morgów pola, trzy krowy, konia, świnię i troje dziecek.

Jak Wojciechowa zacęła mleć swojem ozorem, jako to z Jacentowej jest dobro gospodyni, jak to Jacentemu nicego nie żałowała, jaką to bym miał babę tom ino zgóry na Kaśkę spoglądał, nicem indor na kurcę. Kaśka zaś, jak zwąchała, cem to wszyćko pachnie, tak wpadła w okropną pasyją. Ze złości rozlała pomyje z cebrzyka na całą izbę, ale mi juz dość tego było i wytarmosiułem ją za kłaki na głowie, jak się patrzy. Powiedziałem Wojciechowy, że wszyćko będzie w porządku, a że Jacentowo miała być na jarmarku w Psi Wólce, tak i jo sie wybrołem, zeby się z nią poznać. Wziąłem od gospodarza dziesiątcynę ze zasługi, ubrałem się w nowy kabot i portki, wdziołem se tę krawatkę, co mi ją kupiła jedna cytelnicka „Roli“ na imieniny i taki wystrojony posedem na jarmak. Zaroz na rogu cekała Wojciechowo z Jacentowom na mnie. Jaze dech we mnie zaparło, jak ją uźrołem: baba jak piec, jednem okiem patrzyła na Mokrą wieś, a drugiem na mnie, a jo na nią, a gębę miała cyrwoną jak burok, a pod syjom małego wola. Źle, nie dobrze, poszliśmy na jednego pod „Cyrwonego barana“; Jacentowy się gęba nie zamykała. Wojciechowy tez i mnie tez, bo ciągle coś do niej wrzucałem, najprzód wychlałem półkwaterek i gulaś, a potem znów półkwaterek i tak w kółko i w głowie tez kółka zacęły mi się obracać. Juz nie bacę, cy jo zapłaciułem, cy Jacentowo, dość, ześmy się poznali, bo Jacentowo zacęła mnie scypać po plecach i jo też. Potem wyśliśmy z karcmy i mnie się tak wesoło zrobiuło, ze nie było rady. Chciałem Jacentowy pokazać, jaki to ze mnie gibki chłopak i zacąłem od tego, że chciałem przeskocyć kupę jaj, co zydy naskupowały na rynku.

Jak się rozpędziułem, tak wskocyłem w som środek i legnąłem jaki długi. Żydy narobiuły okropnego wrzasku razem z Wojciechową i Jacentową. Zesło się ludzi kupa, przysło kilku siandarów i koniecnie mnie namawiali, zebym posed z nimi. Wziąść mnie ni mogli pod pachy, bo całe moje ubranie kapało żółtą jajeśnicą. Na to wszystko nadszedł mój gospodarz i gospodyni i zacęli straśnie jojceć nademną. Koniec końcem gospodarz zapłacił zydom za jajka, mnie zamknęli na cały dzień. A gdzie te siandary mnie zamkli, to juz dokumentnie nie pomnę, bo te kółecka tak mi ciągiem po głowie goniły, jak tez mi goniły, gdym chybał przez żydowską kupę jaj.

I ta gorzałecka toby była dobra rzec, zeby nie te kółecka, co to cłeka wszendy wiedą, tylko nie tam, gdzieby cłek chciał iść. Chciałem se dalej skocyć, to kółecka mi nie dały i skocyłem do jajek. Z tej jajeśnicy ze żydowskich jajek to mnie taka strapacyja wziena, ze sobie rzekłem, co juz nigdy jajeśnicy jad nie będę, chociazby mi i sama Jacentowa dawała.

Takie to było moje poznanie z tą gdową Jacentową.

Dobranoc.



Złota dziewećzko!
Stróż Anioł w niebie,
Kołysząc ciebie,
Śpiewa piosneczkę
— Dobranoc!

Twoje siostrzyczki,
(Gwiazdki przed nocą)
Szepcząc — migocą
Do twej duszyczki
— Dobranoc!

Z gaju nad rzeczką
Ptaszki z rozkoszą —
Zdala ci głoszą
Gwarną piosneczką
— Dobranoc!

Oblane rosą,
Na pół drzemiące,
Kwiatki na łące,
W woni ci niosą
— Dobranoc!

Z dobrym Aniołem,
Z naturą całą,
Jasną, rozbrzmiałą,
Powtarzam społem
— Dobranoc!

Kazimierz Grzymała.

PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.

II. Sudan.

W dalszym opisie po Afryce, Stanley w swym liście pisze:

Dnia 16 września przybyliśmy do obozu, rozciągającego się naprzeciwko postoju Ugarrowwy. Ponieważ bardzo mało mieliśmy żywności, gdyż głód ostatni spustoszył całą okolicę, zatrzymaliśmy się tam jeden tylko dzień. Starałem się, o ile możności, zachować z nim dobre stosunki i pozostawiłem mu 56 ludzi słabych.



Sudańczycy jako przednia straż Stanley'a.

Wszyscy Somalisi woleli pozostać u Ugarrowwy, niżeli iść dalej; pozostało także pięciu Sudańczyków. Gdyby byli nam towarzyszyli, wszyscy byliby pomarli. U Ugarrowwy mogli wyzdrowieć. Za utrzymanie każdego z nich trzeba było płacić po pięć dolarów na miesiąc.

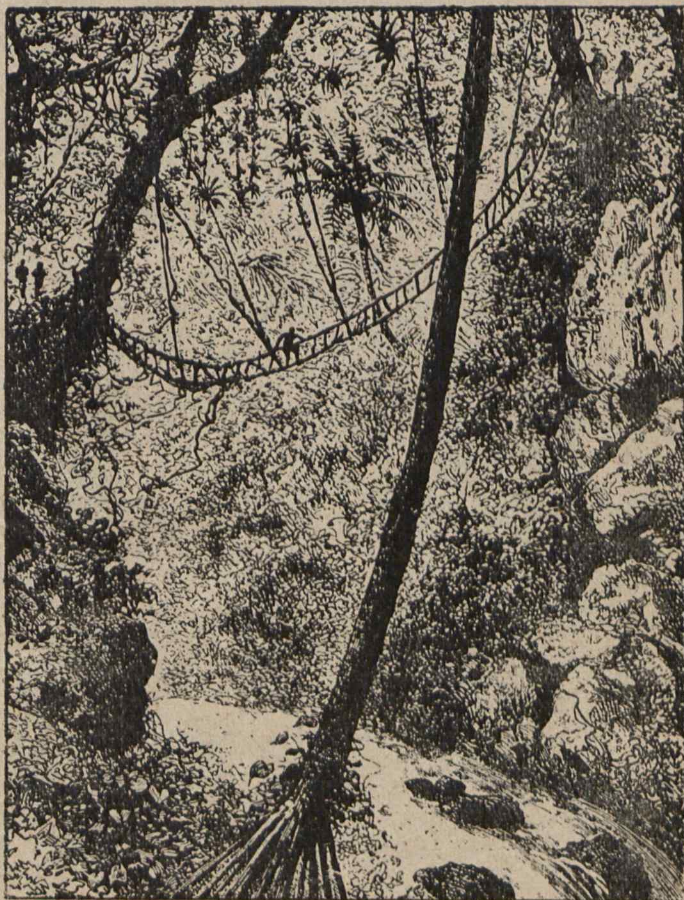
Dnia 18 września opuściliśmy Ugarrowwę, a 18 października weszliśmy do siedzib zajętych przez Kilinga-Luga, niewolnika zanzybarskiego, należącego do starego Araba, Abed-ben-Salima, o którego krwiożerczych czynach jest wzmianka w dziele: Kongo i założenie wolnego państwa. Straszny był to dla nas miesiąc. Przy rozstaniu się z Ugarrowwą nasz przedni oddział liczył 273 dusz, gdyż z 389 straciliśmy 66 ludzi przez śmierć i dezercję i pozostawiliśmy 56 chorych w siedzibie Araba.

Żywiliśmy się przeważnie dzikiemi owocami i orzechami podobnemi do bobu. Niewolnicy Abed-ben-Salima robili, co tylko mogli, aby nas zgnębić. Skupowali broń, amunicję, odzież, tak, że gdy opuściliśmy ich koczowiska, ludzie nasi byli literalnie nadzy; byliśmy tak osłabieni, iż niepodobna nam było nieść łodzi i naszych prowizyj i towarów, pozostawiliśmy to wszystko w Kilinga-Luga pod dozorem doktora Parkes i kapitana Nelson'a i po dwunastodniowym pochodzie przybyliśmy do koczowiska zwanego Ibwiri. Pomiędzy Kilonga-Luga i Ibwiri położenie nasze nie polepszyło się wcale. Spustoszenia przez Arabów sięgały o kilka mil od Ibwiri, a było to spustoszenie tak doszczętne, że nie zostało ani jednej chaty pomiędzy osadą Ugarrowwy i Ibwiri, a co niewolnicy Ugarrowwy i Abed-ben-Selima pozostawili nietkniętem, to zostało zniszczone przez słonie tak, że cały kraj był jedną wielką pustynią. Lecz w Ibwiri byliśmy już bezpieczni od prześladowań, wkroczyliśmy do krainy dziewiczej, obfitującej w pożywienie. Nasze męki głodowe, które rozpoczęły się 31 sierpnia, znalazły koniec w dniu 12 listopada. Wyglądaliśmy wszyscy, jak szkielety. Z 389 pozostało nas zaledwie 174, a i wśród tych byli tacy, którzy lada dzień mogli umrzeć. Zatrzymaliśmy się na dni parę, aby nabrać sił. Ludzie stali się nieufni; cierpienia ich były tak wielkie, lasy tak nieprzebyte, że nie chcieli już wierzyć, iż ujrzą niebawem żyzne równiny i bydło i białego człowieka, Emina Baszę.

— Poza tą puszczą — mówiłem im — leży kraj bogaty, gdzie będziecie mieli poddostatkiem pożywienia i gdzie zapomnicie o wszelkich trudach przeprawy. Odwagi! bądźcież mężczyznami, idźmy prędzej!

Lecz słowa moje były próżne; doprowadzeni do ostateczności głodem, sprzedawali broń i naboje za kilka kłosów zboża, niesubordynacja szerzyła się coraz bardziej wśród ich szeregów. Widząc, że nic nie wskóram środkami pojednawczemi, postanowiłem uciec się do kar, zmuszony byłem dla przykładu 2-ch najgorszych buntowników powiesić.

W Ibwiri zatrzymaliśmy się dni trzynaście i sprawiliśmy sobie istne uczty z kóz, baranów, kartofli, bobu i t. p. Prowizje były niewyczerpane i ludzie pożerali wszystko, co było pod ręką. Skutek był taki, że gdym puścił się w dalszą podróż do Albert-Nyanzy w dniu 24 listopada, miałem 173 (jeden zginął od strzału) silnych i zdrowych ludzi. 126 mil angielskich dzieliło nas jeszcze od jeziora, lecz przy zapasach żywności odległość ta nie przestraszała.



Most ljanowy nad przepaścią w Sudanie.

W dniu 1 grudnia z wierzchołka góry Pisgah dojrzeliśmy kraj otwarty. W dniu 5 grudnia wkroczyliśmy na równiny, pozostwiając poza sobą posępne. zabójcze lasy. Po 160 dniach nieustannego mroku, zobaczyliśmy wreszcie światło dzienne, co tak pięknie barwiło całą naturę. Ludzie wydawali okrzyki radości i padali na kolana.

W dniu 9 grudnia przybyliśmy do kraju potężnego wodza Mazamboni. Wsie rozrzucone były tak gęsto, iż droga prowadziła samemi osadami lub polami uprawnemi. Z wielkiej odległości tuziemcy dojrzeli nas i mieli czas przygotować się na nasze przyjęcie. Opanowaliśmy pagórek, stanowiący środkowy punkt licznych wiosek i wznieśliśmy na nim „zaribę". Okrzyki wojenne rozbrzmiewały od osady; ludzie zbierali się, rogi i bębny obwieszczały, iż ma się rozpocząć walka. Dla nas była ona jakby dziecinną igraszką i skończyła się na zdobyciu krowy — był to pierwszy befsztyk, który jedliśmy od czasu, jak opuściliśmy Ocean. Noc przeszła spokojnie; obie strony przygotowywały się na dzień następny. Rano 10 grudnia próbowali wejść w układy. Godziny upływały na pertraktacjach; oba obozy trzymały się w pewnej od siebie odległości. Usiłowano wzajemnie dowiedzieć się czegoś o przeciwniku. Tuziemcy objaśniali, iż byli poddanymi Ugandy, lecz że Kabba-Rega był ich istotnym królem, gdyż Mazamboni rządził tylko w jego imieniu. Wzięli wreszcie odzież i mosiężne pręty, aby je pokazać temu ostatniemu. Odpowiedź jego miano nam zakomunikować nazajutrz, tymczasem nastąpiło zawieszenie wszelkiej wojowniczej akcji.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Na ratunek rozbitkom „Czeluskina".

Statki „Stalingrad" i „Smoleńsk" wydostały się z lodów, jednak według przypuszczeń kół fachowych, nie zdołają one dotrzeć do Zatoki Opatrzności. Obecny projekt transportu rozbitków „Czeluskina" polega na zabraniu ich przez łamacz lodów „Krassin", który oczekiwany jest w Zatoce Opatrzności w połowie maja. „Krassin" przewiózłby rozbitków na południe, skąd statki „Stalingrad" i „Smoleńsk" przewiozłyby ich do Władywostoku. Do Moskwy nadeszła wiadomość z Nome (Alaska) o poprawie w stanie zdrowia prof. Schmidta. Lekarze uważają, że przesilenie w chorobie już nastąpiło.

Na ratunek rozbitkom „Czeluskina" pospieszyło wielu wybitnych lotników sowieckich, którym ostatecznie udało się uratować wszystkich z kry lodowej. Między innymi wielce odznaczył się lotnik Babuszkin. Doleciał on do osady Wankaren i stamtąd przelatywał kilkakrotnie przestrzeń dzielącą to miasteczko od rozbitków. Górna ilustracja przedstawia nieszczęsny łamacz lodów „Czeluskin", który zatonął. Dolna zaś Babuszkina wśród tubylców w Wankaren.

Do reszty rozbitków, którzy w liczbie 6 osób jeszcze się na lodach znajdują, lotnicy sowieccy nie wyruszają z powodu złego stanu pogody.



O rękę hrabianki.

(Humoreska.)

Lokaj otworzył drzwi i spytał nieufnie:

— Pan do kogo?

— Do pana hrabiego Wałkońskiego — odparł niepozorny człowiek.

Lokaj podał mu formularz wizytowy.

— Proszę wypełnić.

Przybysz ujął ołówek i zaczął pisać. W rubryce „nazwisko" skreślił — Lakierski Zenon, w rubryce „cel wizyty" — ręka hrabianki Wałkońskiej.

Lokaj zaniósł formularz hrabiemu. Ten odczytał dziwaczną kartkę i mruknął gniewnie:

— Idjota jakiś! — Powiedz mu, że go nie przyjmę.

Lakierski wyszedł bez słowa.

Nazajutrz zjawił się ponownie. Znów wypełnił formularz, jak poprzednio.

I znów hrabia polecił go spławić.

Od tego czasu Lakierski przychodził do pałacu regularnie co drugi dzień, za każdym razem podając ten sam cel wizyty, a z jednakowym zawsze rezultatem.

Wreszcie po miesiącu, gdy hrabianka poślubiła barona Safandułłę, hrabia Wałkoński polecił zawiadomić o tem dziwnego natręta, sądząc, że nareszcie pozbędzie się utrapieńca. Lecz uparty Lakierski jakby nigdy nic, zjawił się znów za dwa dni i z całym spokojem jął wypełniać formularz.

Tym razem w rubryce cel wizyty: ręka baronowej Safandułłowej.

Stary hrabia jęknął rozpaczliwie:

— Jedno z dwojga, albo to jest warjat, albo manjak! Muszę go spławić radykalnie. I napisał do Lakierskiego list następujący:

Szanowny Panie!

Moja córka Alicja uległa nieszczęśliwemu wypadkowi. Wpadła pod autobus, który zgniótł jej ciało na marmeladę, żebra na korkociągi, piersi na szyjki od butelki, a grzbiet na szpagat.

Byłoby to jeszcze połową nieszczęścia, lecz niestety córka, o której rękę Pan tak wytrwale prosi, przed jej nierychłym rozwodem, względnie owdowieniem ma amputowaną nogę i obie ręce.

Proszę więc, niech Pan nie żąda tego, czego dać mu nie jesteśmy w mocy.

Nieszczęśliwy ojciec hrabia Wałkoński.

Za dwa dni Lakierski znów przyszedł. Tym razem w rubryce „cel wizyty“: noga baronowej Safandułły.

Tego było już za wiele.

Wściekły hrabia wybiegł, trzęsąc się ze zdenerwowania, wrzasnął:

— Co to ma wszystko znaczyć, do stu djabłów?! Co pan chcesz, kim pan właściwie jesteś?!

— Ja, odparł spokojnie Lakierski, jestem manikurzystą. Chciałem zaofiarować swe usługi baronowej i oczyścić paznokcie u ręki pani baronowej.

Ponieważ baronowa ma teraz tylko jedną nogę, więc będąc również pedikurzystą, ośmielam się zaproponować wytworną pielęgnację nogi.

J. MOKRZYCKI.

W puszczy amerykańskiej.

(Powieść).

Ciąg dalszy). (Przedruk wzbroniony).

— Hm! — mruknął Ader — Fryc nie dałby się prędko zjeść. A przecież nie przypuszczam, by Złotopolski oddał go policji, gdyż obawiałby się o los synowicy, za którą ten skąpiec oddałby chętnie swoje miljony. Poczekamy jeszcze tydzień, jeśli nie da znać o sobie, to znak, że już po nim. Więc trzeba wysłać nowe poselstwo. Pójdziesz ty Hugo.

— Pójdę, gdy będzie trzeba.

— Dobrze teraz idźcie spać. Ja też się położę, bo jutro polowanie. Już mi się nudzi kompanja tego bydlęcia Chytrego Węża, chociaż te parę dni, które jeszcze tu przebyć musimy, chcę sobie jakoś urozmaicić. Potem do Kanady.

Po tych słowach trzej towarzysze ruszyli do szałasu leżącego na końcu osady, Ader zaś powrócił do chaty wodza.

Nie namyślając się długo, ruszył Georg w krzewinę, i posuwając się z początku ostrożnie, gdy wydostał się z osady, co tchu biegł w stronę puszczy, gdzie pozostawił towarzyszy ukrytych w onej altance. Należało się spieszyć, gdyż do rana niezbyt daleko było, trzeba było całą rzecz prędko wykonać i oddalić się na przyzwoitą odległość, zanim się spostrzegą i zaczną ścigać. I chociaż pot kroplisty wystąpił mu na czoło, biegł wciąż bez wytchnienia. Nareszcie ukazały się pierwsze korony drzew puszczy, potem wnet zaczerniała kępa otaczająca altankę. Karo ze skomleniem przybiegł do nóg swego pana, poczem ozwał się głos:

— Kto idzie?

— Swój! — odrzekł Georg. — Zabierać się prędko — idziemy.

— Jesteśmy gotowi — rzekł Wolski — możemy ruszać bodaj w tej chwili.

— Ruszajmy, gdyż niema chwili do stracenia — rzekł Georg, poczem przykazawszy psu pozostać, wysunął się na czoło i prowadził. Po drodze objaśniał Wolskiego o sytuacji i wydawał stosowne rozporządzenia.

Wkrótce zaczerniły przed nimi pochyłe dachy wigwamów, Georg ostrożnie wymijał chaty i szałasy i dążył prosto w stronę naczelnego, gdzie w szałasie znajdowała się Mira. Ognisko płonące przed chatą naczelnika przygasło, a Indjanie, którzy je pilnowali, leżeli skurczeni obok, widocznie spali.



Chwyciwszy Indjankę za gardło, mocno przydusił...

Ostrożnie zbliżyli się do otworu i bez trudu prawie usunęli zaporę. W szałasie dopalała się świeca, rzucając migotliwe blaski po zakopconych ścianach, oświecając spoczywającą na mchowem posłaniu postać niewieścią.

W kącie tuż pod świecą siedziała skurczona postać Indjanki, uśpiona mocno.

Georg trącił Jamesa i wskazał Indjankę. Ten rozumiejąc rozkaz, jak kot, podkradł się zręcznie do niej i chwyciwszy za gardło, mocno przydusił, Otwocki tymczasem skrępował jej sznurem ręce i nogi, poczem dobywszy chustkę, zakneblował jej usta.

Tymczasem Wolski zbliżył się do Miry, która leżała uśpiona, poruszył ją lekko za rękę. Zbudzona, zerwała się prędko i siadła, patrząc rozszerzonemi ze strachu źrenicami, nie mogąc rozpoznać nikogo.

— Miruś — na Boga — tylko cicho — szepnął. — To ja, twój Zbyszek, przyszedłem cię wyratować.

Teraz poznała go. Lecz nagła radość pozbawiła ją sił, ręce opadły jej bezwładnie i zemdlała.

— Wody, na miłość Boską! — szepnął Wolski.

— Bierz ją i uciekaj! — rozkazywał Georg — powietrze ją otrzeźwi. — Prędko, nie ma czasu.

Chwycił ją tedy w ramiona jak dziecko i wyniósł na dwór, podczas gdy Otwocki z Jamesem rzucili związaną Indjankę na posłanie i narzucili na nią różnych skór i gałganów, jakie się w szałasie znajdowały.

Załatwiwszy się z tem, James wysunął się pierwszy, a tuż za nim poszedł Otwocki. Ten ostatni wychodząc, niebacznie potrącił drąg podpierający prowizorycznie zrobione drzwi, które się z trzaskiem przewróciły.

W tej chwili zerwali się strażujący przy ognisku dwaj Osagowie i rzucili się w stronę szałasu, a zobaczywszy uchodzących, narobili wrzasku i puścili się za nimi w pogoń. Jeden z nich już prawie łapał Otwockiego za ramię, gdy tenże naraz, odwróciwszy się, wypalił mu z pistoletu w same piersi.

Osag zwalił się na ziemię, a jego towarzysz cofnął się, jednakże na skutek strzału cała osada zerwała się na nogi i co żyło, wybiegło na majdan chwytając za broń. Uczynił się gwar i zamęt nie do opisania, zaś przed naczelnym wigwamem rozniecono ognisko, które czerwonem światłem oblało całą osadę.

Nim uciekający zdążyli się wydostać z obrębu osady, olbrzymi tłum rzucił się za nimi w pogoń.

— Zginęliśmy! — mówił Georg do Wolskiego. — Nie wydostaniemy się stąd żadnym sposobem.

Tłum tymczasem zbiegał się zewsząd, wrzask potężniał z każdą chwilą. Zapalono więcej ogni, prawie w każdym punkcie osady, tak, że zrobiło się jasno jak w dzień. Uciekający nie mogli wyjść z kręgu światła, byli więc doskonale widziani.

— Naprzód kapitanie! — zawołał Georg — uchodź ile sił — wy zaś towarzysze do mnie!

I przystanąwszy, zwrócił groźne rury swojej rusznicy do nacierającego, wrzeszczącego tłumu. Rozległ się strzał jeden i drugi, za nim odezwały się gwintówki Otwockiego i Jamesa.

Tłum przystanął, trochę się zmieszał i zawahał, gdyż odezwały się jęki i kilka ciał tarzało się po ziemi.

— Za mną! — zawołał teraz Georg i rzucił się do ucieczki, omijając zręcznie kupy Osagów, które z szałasów wybiegły.

Lecz zamieszanie wśród tłumów nie trwało długo. Wyciągnął się na nowo sznur za uciekającymi, a z przodu zastępowały coraz nowe kupy, które wywabione zgiełkiem, zaczynały orjentować się w sytuacji. Uciekający zaczęli sobie teraz z coraz większą trudnością torować drogę za pomocą pistoletów, a gdy brakło nabojów, zaczęli oganiać się kolbami.

Wnet Otwocki ugodzony kamieniem z procy padł na ziemię, po nim padł James uderzony maczugą i równocześnie trafiony strzałą w ramię, sam tylko Georg pozostał i bronił się zaciekle jak ogar napadnięty przez stado wilków.

Osagowie widząc, że ten ogar kąsa na śmierć i przed nim tworzy się wał trupów, poczęli się przed nim cofać, lecz nie po to, by ustąpić. Naraz świsnęło lasso z jednej strony, świsnęło z drugiej i Georg skrępowany jak ryba w sieci, zwalił się na ziemię.

Wolski zaś, dźwigając swój słodki ciężar, wydostał się za obręb osady i biegł na oślep przez pola prosto puszczą. Słyszał wszystkie odgłosy walki i serce mu się rozdzierało z bólu, że nie może przyjaciołom nieść pomocy.

Tymczasem Osagowie rozpoczęli pościg za uprowadzoną branką, albowiem Ader zbudzony wrzawą, spostrzegł się natychmiast o co chodzi i tym pościgiem sam kierował. Zapalono stos tuż za osadą i wnet całe pole zalane zostało jaskrawem światłem, w którem oczom ścigających ukazał się zbieg unoszący brankę. Wnet kopnęło się za nim kilkunastu Osagów i w niespełna pół godziny otoczono go ze wszystkich stron.

Wolski widział się zgubionym, lecz postanowił przynajmniej życie sprzedać drogo. Dobywszy pistoletów, dwóch Osagów położył na miejscu, a opuściwszy Mirę na ziemię, chwycił szablę i począł ciąć okropnie każdego, ktoby odważył się na długość szabli do niego zbliżyć.

Wszczął się wrzask nieopisany, zaczęły furczeć kamienie wypuszczane z procy, czasem brzękła strzała, czasem świsnęła mimo kula z rusznicy lub pistoletu. Wolski trzymał się, a u jego nóg tarzały się trupy Osagów poćwiartowane szablą jak w jatce.

— Żywcem brać! żywcem brać! — odezwał się naraz głos w języku Osagów, który jednak górował nad innemi.

Wolski spojrzał i zobaczył Adera siedzącego na koniu. Błyskawicznie zerwał przewieszoną przez ramię gwintówkę, przyłożył do oka i wypalił.

— Christ! — rozległ się okrzyk — i Ader runął z konia na ziemię.

W tej chwili świsnęły lassa i Wolski omotany, szamotał się jeszcze chwilkę, wreszcie uległ przykryty zupełnie przez czerwonoskórną szarańczę.

Skrępowano go by jakiego zwierza i poprowadzono wśród okrzyków triumfu do osady, Mirę zaś jeszcze omdlałą złożono na przygotowane na prędce nosze, słaniającego się Adera, który nie zabity, lecz tylko ranny był, dwóch Osagów pod ramiona podtrzymywało i tak ruszono pochodem ku osadzie.

XIV.

W szałasie, w którym poprzednio zamieszkiwała Mira, wrzuceni na barłóg leżeli skrępowani grubemi powrozami jeńcy: Otwocki, któremu z rany na czole krew płynęła, obok James Stockpolle z przeszytem strzałą ramieniem i Wolski, którego później przywleczono. Leżeli cicho, milcząco, nawet się nie skarżyli na cierpienia.

Georga z powodu jego przebrania i ucharakteryzowania miano za Indjanina, dlatego umieszczono go osobno, w komórce wigwamu Chytrego Węża. Skrępowano go tak, że nie mógł poruszyć się wcale i pozostawiono samego, wystawiono tylko straż, składającą się z dziesięciu najtęższych wojowników, którzy mieli pod utratą gardła pilnować tak związanego w komórce Georga, jakoteż innych, którzy się w sąsiednim szałasie znajdowali. Wojownicy tedy rozpaliwszy ogień, usiedli wokoło, a jeden ustawicznie przechadzając się, doglądał, czy niema coś podejrzanego. Po osadzie też z rozkazu wodza krążyły ustawicznie straże.

Georg leżąc tak skrępowany, zdawał sobie dokładnie sprawę, jak straszliwe niebezpieczeństwo zawisło nad nim — jak okrutna śmierć go czekała. Osagowie bowiem straszliwie znęcali się nad chwyconym Indjaninem, który nie będąc z nimi w stanie wojennym, wpadł na ich posiadłości, albo też nad takim, który używał ich przebrania. — Takiego jeńca zwyczajnie przywiązywali do słupa, oblepiali gliną całe ciało, po-

tem paląc ogień, obsypywali żarem, tak, że żyjąc jeszcze, już miał nogi po kolana upieczone, a całe ciało gotowało się pod wpływem straszliwego gorąca.

Na samo tego wspomnienie dreszcz przechodził Georga od stóp do głowy. — O, gdyby tak miał ręce wolne, potrafiłby się jeszcze wyratować, a może wyswobodziłby i towarzyszy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Tłuczenie kamieni wzamian za podatki.



Na wyspie Quessant, na zachodniem wybrzeżu Bretanji istnieje dziwny zwyczaj płacenia podatków. Mianowicie żony mieszkańców gminy, których nie stać na zapłacenie podatków, „odrabiają“ je, pomagając przy naprawie dróg. Na zdjęciu widać niewiasty, zajęte tłuczeniem kamieni. — Może i u nas do tego przyjdzie, za podatki bowiem dozwolona jest już zwózka kamieni na drogi.

Poradnik gospodarczy.

II. Uprawa koniczyny.

Słabiej rosnącą koniczynę dobrze jest przykryć lekko przed zimą mierzwą stajenną, która ochroni ją przed wymarznięciem i zasili nieco ziemię. Na wiosnę zgrabić należy tę mierzwę i zwieźć do domu, gdzie po wyschnięciu może być użytą ponownie do słania pod bydło.

Gdy koniczyna podrośnie już o tyle, iż liśćmi swemi pokryje już ziemię, można posypać ją gipsem surowym miałko zmielonym, który na gruntach nie zawierających w sobie gipsu w dostatecznej ilości, sprawia skutek bardzo pomyślny. W przeciwnym wypadku byłby to wydatek zupełnie zbyteczny, należy więc zrobić najprzód próbę na małym kawałku. W każdym razie gipsowanie odbywać się powinno w czasie wilgotnym, więc albo zaraz po deszczu lub też rankiem, nim rosa obeschnie, posypując tą mączką o tyle, by listki koniczyny pobielały.

Polewanie gnojówką wcześnie na wiosnę okazało się dla koniczyny bardzo skuteczne, również nawóz złożony z mączki kostnej, dany pod zboże, w którem jest zasianą.

Pierwsze koszenie koniczyny przeznaczonej na siano następuje wtedy, gdy połowa jej pączków zakwitnie. Zbyt długie wyczekiwanie z koszeniem nie jest dobre, gdyż lubo przybędzie w takim razie nieco więcej plonu przy pierwszym zbiorze, siano jednak będzie grube, twarde, niesmaczne i mniej pożywne, a drugi pokos wypadnie szczuplejszy i opóźni orkę tego pola pod oziminę.

Wiadomem jest, iż do zbioru nasienia przeznacza się tylko drugi pokos koniczyny czerwonej, gdyż pierwszy zakwita niejednostajnie i zawiera po dojrzeniu bardzo mało ziarna; parcelę więc, z której chcemy zebrać ziarno, trzeba skosić bardzo wcześnie, t. j. wtedy, gdy kwiat ledwie ukazywać się zaczyna, albowiem tym sposobem pozostawimy drugiemu porostowi więcej czasu do odnowienia się i dojrzenia. Po przyspieszonym zbiorze koniczyny nasiennej, orka i zasiew na tem polu nastąpić już może w chwili stosownej.

Suszenie koniczyny odbywa się w sposób bardzo odmienny. Głównem tu staraniem powinno być zapobieżenie opadaniu listków, które stanowią najsmaczniejszą i najpożywniejszą część tej paszy, schną jednak prędzej od badyli i kruszą się łatwo, szczególnie przy częstem rozrzucaniu i przetrząsaniu koniczyny.

Z tego więc powodu najlepszem jest suszenie na żerdziach, na których składa się przewiędłą już koniczynę w kształcie kopy i pozostawia aż do zupełnego wyschnięcia.

Żerdzie takie sporządza się z młodych świerków (smreków), na których pozostawia się na jeden łokieć długie, a sterczące zwykle ku górze gałązki boczne, celem podtrzymywania układanej na nich koniczyny. W braku świerków użyć można żerdzi jodłowych, które przewierca się trzy lub cztery razy w równych odstępach, a w kierunkach przeciwnych, i wtyka do dziur tych patyki o tyle długie, by wystawały po każdej stronie na jeden łokieć. Na jeden morg potrzeba około 30 takich żerdzi.

W miejscach wystawionych na silne wiatry, na których żerdzie pojedyńcze, mimo silnego wbicia ich w ziemię zapomocą drąga żelaznego podlegałyby przewróceniu, ustawiają się kozły z trzech żerdzi połączonych w górze i zaopatrzonych każda po stronie zewnętrznej kilkoma kołkami, na których kładą się łaty lub żerdki poprzeczne celem układania na nich koniczyny. Kopy takie są już większe, więc potrzeba mniej kozłów.

Układanie koniczyny na żerdziach lub kozłach rozpoczyna się od dołu, a kończy w górze należytem wywierszeniem, by nie zamokła w środku od deszczu, po zupełnem zaś wyschnięciu zbiera się ją ostrożnie prosto na wozy. Żerdzie zwozi się potem do szopy i używa w latach następnych.

Gdzie jednak żerdzie kosztują zbyt drogo, najlepiej jest suszyć koniczynę w sposób następujący:

Drugiego lub trzeciego dnia po skoszeniu, co zależy od stanu powietrza, grabi się koniczynę na wały i układa małe i wązkie kopki, nie wyższe nad dwa łokcie. Dnia następnego, lub w razie nie dosyć pięknej pogody o jeden dzień później, przewraca się po dwie kopki ku sobie spodem do góry, by obeschła ta część, która leżała na ziemi, a przed wieczorem ustawia kopki podwójnie, czyli z dwóch jedną. Tak samo postępuje się następnie, aż kopy będą już tak duże, iż dwie lub cztery ich stanowić będą całą furę, poczem postać

mogą w razie potrzeby dni kilka, dla zupełnego wyschnięcia, a przed wożeniem przewrócić je tylko potrzeba spodem do góry, by straciły wilgoć wciąganą z ziemi.

W każdym razie łącząc dwie kopy w jedną, nie trzeba rozrzucać koniczyny cienko, ani też przetrząsać jej lub przewracać zbyt często, by nie narażać na utratę listków. Przed zwiezieniem powinna być o tyle suchą, ażeby po wyciągnięciu próbki z samego środka kopy, można ją przetrzeć w rękach bez rozrywania.

Bywają czasem w chwili zbioru dni tak gorące, iż koniczyna schnie bardzo szybko, wtedy więc trzeba ją składać zaraz za kosiarzami, a potem łączyć już kopy bez wszelkiego rozrzucania.

Na nasienie zostawia się koniczynę mniej gęstą i niezbyt bujną, gdyż taka mogłaby wylęgnąć i dałaby zbyt szczupły plon ziarna.

(Dokończenie nastąpi).

KRONIKA.

Komisarze ochrony lasów. Minister rolnictwa i reform rolnych powołał do życia instytucję komisarzy ochrony lasów. Komisarze ci czuwać będą nad stanem lasów państwowych i prywatnych i dbać o to, aby przemysł prywatny drzewny nie prowadził gospodarki rabunkowej.

Komornicy mają być grzeczni. Ministerstwo sprawiedliwości wydało specjalny okólnik, w którym poleca wszystkim komornikom na terenie państwa przeprowadzanie swych czynności urzędowych w ściśle i zgodnie z przepisami sposób grzeczny i taktowny, by nie wprowadzać rozdrażnienia wśród społeczeństwa. Okólnik przewiduje szereg kar aż do usunięcia z urzędu.

Broń dla pracowników pocztowych. Minister poczt i telegrafów wydał zarządzenie o noszeniu i używaniu przez pracowników pocztowych broni palnej. Na mocy tego rozporządzenia wszyscy doręczyciele przekazów pieniężnych, listów wartościowych i konwojenci pocztowi będą uzbrojeni w broń palną i zaopatrzeni w alarmowe gwizdki, inni pracownicy pocztowi będą zaopatrzeni w pałki gumowe.

Konfiskata broni w województwie krakowskiem. Organa policji państw. przy sposobności rewizyj i kontroli skonfiskowały w miesiącu marcu 1934 na terenie województwa krakowskiego następującą ilość broni posiadanej nielegalnie przez ludność cywilną: karabinów 34, strzelb 49, rewolwerów 64, pistoletów 31, flobertów 5, innej broni 11.

Kongres Eucharystyczny w Tarnowie. W Tarnowie w dniach od 8 do 10 czerwca b. r. odbędzie się Kongres Eucharystyczny. Prace przygotowawcze są w pełnym toku. Stworzono liczne sekcje, jak organizacyjną, nabożeństw, budżetową, dekoracyjną, misyjną, propagandową i prasową, pochodową i porządkową, aprowizacyjną i kwaterunkową. Spodziewany jest przyjazd kilku biskupów z ks. arcyb. Sapiehą na czele, oraz zjazd około 40.000 osób.

Kołkiem zabiła sąsiada. Aleksandra Dziaduła, lat 25, z Maszkienic w woj. krakowskiem, po objęciu nowych działek gruntowych wskutek przeprowadzonej komasacji, pałała nienawiścią do sąsiada Jana Drąga i zabraniała dzieciom jego przechodzić przez ogród. Na tle powyższego wynikały bardzo często sprzeczki między wymienionymi, a także przybierające nieraz bardzo ostrą formę. Drąg wyprowadzony z równowagi stałem zaczepianiem dzieci, wysłał dnia 13 b. m. swoją córkę Marję, lat 11, przez ogrod Dziaduły, a gdy spostrzegł, że ta została zaczepiona przez Dziadułę, wszczął z nią kłótnię, w toku której uderzył ją kilkakrotnie biczyskiem. Dziaduła chwyciła kołek i uderzyła nim Drąga w głowę tak, że ten upadł nieprzytomny na ziemię, a przewieziony do szpitala w Krakowie, zmarł.

Wielki pożar w Borzęcinie. Dnia 17 b. m. po północy wybuchł na strychu domu Jana Wyczesanego w Borzęcinie, wskutek złej budowy komina — pożar, który mimo energicznej akcji ratunkowej straży pożarnej z Borzęcina i okolicznej ludności rozszerzył się i zniszczył 7 domów mieszkalnych, 8 stajen, 1 stodołę, 2 sztuki bydła, 5 świń, oraz całe urządzenia domowe i zapasy żywności. Szkoda wynosi około 30.000 zł.

Okrutny samosąd nad złodziejem. Do stajni gospodarza Sobonia w Szczepanowicach, powiat Tarnów, włamał się zawodowy złodziej, liczący lat 39 z Tarnowa, poczem skradł ubranie i bieliznę. Uciekającego złodzieja, który stawił opór, ugodził w pościgu szwagier Sobonia, Słowik, nożem w plecy, zaś Soboń uzbrojony w strzelbę wypalił dwa razy do złodzieja Szulakiewicza, który ubiegłszy kilka kroków, padł na ziemię i po 20 minutach zmarł.

70-letni rolnik wpadł pod pociąg. Na stacji w Sporyszu koło Żywca wysiadał z pociągu 70 letni A. Gąska, rolnik ze Sporysza i wskutek nieuwagi wpadł pod drugi przejeżdżający pociąg, który go ciężko zranił. Gąskę przewieziono do szpitala w Żywcu, gdzie na skutek odniesionych ran zmarł.

Śmierć od pioruna. W czasie burzy, która przeszła nad wsią Trybsze, pow. Nowy Targ, jeden z piorunów ugodził 21-letniego Józefa Wadowskiego, który poniósł śmierć na miejscu.

Wdowa po wojewodzie przed sądem. W sądzie karnym we Lwowie odbyła się rozprawa przeciwko wdowie po wojewodzie p. G., oskarżonej o obrazę posterunkowego. Pani G. upomniana przez posterunkowego w czasie spaceru, aby psa trzymała na linewce, odparła ironicznie: „Dobrze, ale dawniej psami interesował się rakarz, a teraz pan to robi". Posterunkowy nałożył z miejsca grzywnę administracyjną w kwocie 1 zł. Pani G., dając posterunkowemu 1 zł., wyraziła się: „Masz pan, niech pan sobie zarobi". Rozprawa zakończyła się skazaniem oskarżonej na 50 zł. grzywny, przyczem jako okoliczność obciążającą przyjęto stopień wykształcenia skazanej.

Zrabowane przez Niemców dzwony odnaleziono. W fabryce Szafrugi w Sosnowcu wykryto dzwon, który przed wojną należał do kościoła Najśw. P. Marji w Sosnowcu, a w 1915 roku razem z innemi dzwonami został zrabowany przez Niemców. Ogólnie przypuszczano, że dzwony zostały przerobione na „grube berty". Członkiem Dozoru Kościelnego był w owym czasie Szafruga. Zdołał on skraść Niemcom dzwony, które zostały połamane. Część dzwonów ukrył właściciel Zakładu rowerowego Baran, u którego też znaleziono różne części. Jeden dzwon oceniano na 30 tysięcy złotych, gdyż na stop składało się wiele złota, srebro i miedź. Władze policyjne prowadzą obecnie śledztwo celem wyjaśnienia, dlaczego Szafruga i Baran nie zwrócili dotychczas dzwonów kościołowi.

Zatruci gazami w bieda-szybie. Na terenie bieda-szybów w Rosnowcu wydarzyły się dwa nieszczęśliwe wypadki. W czasie wydobywania węgla został zatruty gazami robotnik Mielczarek, ponosząc śmierć na miejscu. W odkrywce koło Kazimierza zatruty został gazami 13 letni Kraszewski, w chwili gdy wydobywał z odkrywki blaszane pudełko.

Wieś w ogniu. We wsi Opatów, pow. częstochowskiego, wybuchł gwałtowny pożar, który w ciągu kilku-

nastu minut objął połowę wsi. Pastwą rozszalałego żywiołu padły 23 domy, tyleż obór i kilkanaście stodół. Straty wynoszą ponad 100.000 zł.

Uchronił od katastrofy przed śmiercią. Pomiędzy Łodzią a Pabijanicami kursują tramwaje dojazdowe. W chwili, gdy jeden z tramwajów jadący w kierunku Pabijanic znalazł się obok przystanku Lotnisko, motorowy, prowadzący wóz K. Pawłowski, nagle zachwiał się. Ostatnim wysiłkiem wyłączył prąd i padł na deski obok motoru bez przytomności. Pociąg potoczył się jeszcze kilkadziesiąt metrów i stanął. Motorowy przed przybyciem lekarza zmarł. Śmierć nastąpiła wskutek ataku serca. Dzięki niezwykle silnej woli zdołał tragicznie zmarły uchronić pociąg od zderzenia z pociągiem z przeciwnej strony biegnącym.

Okropna zbrodnia w Koluszkach. Onegdaj wieczorem do piwiarni Władysławy Pawłowskiej w Koluszkach przybył z Łodzi jej mąż, 36 letni Józef Pawłowski, który od 2 lat nie żył z żoną. Po krótkiej rozmowie Pawłowski rozpruł nożem rzeźnickim brzuch swej żonie oraz jej siostrze, 20-letniej Irenie Gałązkównie. Pawłowska wkrótce zmarła wskutek upływu krwi, Gałązkównę zaś w stanie beznadziejnym przewieziono do szpitala. Mordercę aresztowano. Nie chce on podać przyczyny swego strasznego czynu.

Przyjazd francuskiego ministra spraw zagranicznych do Warszawy. W ubiegłą niedzielę bawił w Warszawie francuski minister spraw zagr. Barthou. Przyjazd tego ministra do Warszawy miał na celu omówienie ważnych spraw jak paktu polsko-francusko-rosyjskiego przeciwko Niemcom, zajęcie stanowiska w Lidze Narodów w stosunku do Niemiec przez stałe łamanie traktatu wersalskiego i potajemne zbrojenia się Niemiec, jak również wielkie podwyższenie budżetu wojskowego na zbrojenia i t. p. W tem postępowaniu Niemiec Francja widzi coraz bezczelniejsze naruszanie traktatu wersalskiego i przygotowania Niemców do odwetu. Obecna akcja Francji ma na celu organizację państw i zajęcia w Lidze Narodów wspólnego frontu przeciwko Niemcom. I być może, że w tej sprawie zapadną pewne uchwały.

9 miesięcy trzymany niewinnie w więzieniu. Do sądu grodzkiego w Warszawie wpłynęła niezwykła skarga przeciwko skarbowi państwa. Swego czasu policja aresztowała Jana Mieczowskiego, którego sąd skazał na 9 miesięcy więzienia za kradzież. Jan Mieczowski podawał się za Jerzego Mieczowskiego i kiedy wyrok się uprawomocnił w więzieniu osadzono Jerzego Mieczowskiego, który nie miał nic wspólnego ze sprawą. Przypadkowy więzień, nie orjentując się, za co go osadzono w więzieniu, pisał wciąż podania do władz, w których zaklinał, że siedzi niewinnie. Podań takich Mieczowski napisał przeszło 100, lecz żadne z nich nie odniosło pożądanego skutku. W ten sposób Jerzy Mieczowski odsiedział karę za Jana. Sprawa może nie wyjaśniłaby się nigdy, gdyby nie policja, która często ściągała Jerzego Mieczowskiego do rejestracji, jako zawodowego przestępcę. Wyprowadzony z równowagi Mieczowski wniósł skargę do prokuratora i wówczas całe nieporozumienie zostało wyjaśnione. Okazało się, że Jan Mieczowski stawał przed sądem, ale podał się za Jerzego. Wobec tego wyrok wykonany został na Jerzym. Po wyświetleniu całej sprawy Mieczowski wystąpił na drogę sądową przeciwko skarbowi państwa o odszkodowanie za przetrzymanie go blisko 9 miesięcy w więzieniu.

Śmiertelna ondulacja. Donosiliśmy swego czasu o śmierci niejakiej Julji Majewskiej, która podczas dokonywanej ondulacji włosów u fryzjera Kamińskiego w Warszawie została porażona prądem elektrycznym doprowadzonym do maszynki do ondulowania włosów, wskutek czego straciła życie. Onegdaj odbyła się rozprawa sądowa przeciw niefortunnemu fryzjerowi, którego Sąd okr. skazał na 3 miesiące więzienia.

Pożary. W nocy w Hryńkowicach na Wołyniu wybuchł pożar w zabudowaniach jednego z miejscowych gospodarzy. Ogień strawił 45 domów mieszkalnych wraz z zabudowaniami i inwentarzem żywym i martwym. Straty są bardzo wielkie. — W Radoszówce również na Wołyniu spaliło się 25 domów mieszkalnych wraz z zabudowaniami. Spaliło się też wiele inwentarza. Straty wynoszą ponad 90 tysięcy złotych. Pożar w obu wypadkach powstał wskutek nieostrożnego obchodzenia się z ogniem.

Za katastrofę kolejową 4 lata więzienia. Dnia 15 grudnia ub. roku wydarzyła się pod Poznaniem straszna katastrofa kolejowa, w której pociąg osobowy najechał na inny pociąg, skutkiem czego 8 osób poniosło śmierć, a 40 osób odniosło lżejsze i cięższe rany. Przeciw dwu sprawcom tej katastrofy funkcjonarjuszom kolejowym E. Wawrzyniakowi, zwrotniczemu i W. Niedzielskiemu, maszyniście kolejowemu, odbyła się onegdaj rozprawa sądowa, po przeprowadzeniu której sąd skazał Wawrzyniaka na 4 lata więzienia, natomiast maszynistę Niedzielskiego uwolnił od winy i kary.

Katastrofa samochodowa. Na terenie gminy Hołynka, pow. grodzieńskiego wydarzyła się katastrofa samochodowa. Samochód ciężarowy jadący z pasażerami szosą ze Słonima przy mijaniu wozu wpadł do rowu i rozbił się. Pasażer Hilel Wohlberg, lat 21, poniósł śmierć na miejscu, dwaj inni pasażerowie są ciężko ranni.

Dwa trupy w spalonym domu. Pod Wąbrzeżnem w jednym z domów wybuchł pożar, który strawił cały dom wraz z przyległymi zabudowaniami. Pastwą pożaru padł też koń, 3 świnie i krowa. Przy gaszeniu pożaru zwracał uwagę brak właścicieli domu. Dopiero po zupełnem ugaszeniu zgliszcz zauważono zwłoki obojga małżonków gospodarzy w spalonym chlewie. Zachodzi przypuszczenie, że oboje małżonkowie, samotnie mieszkający, padli ofiarą zbrodniczej ręki.

Pożar warsztatów kolejowych. W nocy z czwartku na piątek w Łapach koło Białegostoku wybuchł pożar w głównych warsztatach kolejowych. Pastwą ognia padł olbrzymi budynek, w którym znajdowało się 31 wagonów kolejowych, kilka maszyn do obrabiania drzewa i duża ilość różnego rodzaju materjałów. Straty wynoszą ponad dwa miljony złotych. Główny kierownik tych warsztatów, inż. Leon Blum, na widok groźnego pożaru doznał ataku sercowego i padł trupem na miejscu.

Schron przeciwgazowy w każdym piątym domu. W Wilnie w Starostwie Grodzkiem odbyła się konferencja połączonych organizacyj straży pożarnych i Ligi Ochrony Powietrznej Państwa. Między innemi koniecznemi zarządzeniami uchwalono, iż każdy piąty dom powinien mieć wybudowany schron przeciwgazowy. Ponadto w każdym z tych domów musi być komisarz, który w wypadku potrzeby obejmuje kierownictwo nad akcją przeciwgazową ludności.

Straszna śmierć przemytników. W Kuczobach w pow. Oleskim na Śląsku Opolskim, w domu przemytnika Gruszki, leżącym tuż przy granicy polsko-niemieckiej, wskutek nieostrożności, nastąpiła eksplozja większej ilości eteru. Wybuch był tak silny, iż 8 osób poniosło śmierć, oraz 8 zostało rannych. Wśród ciężko rannych znajdował się i przemytnik Nowak, rodem ze Śląska Polskiego. Przemytnika Nowaka wraz z innemi ofiarami strasznego w skutkach wybuchu, przewieziono do szpitala, gdzie po strasznych dwudniowych męczarniach

zmarł. Wśród pozostałych 7 rannych, jeszcze kilku osobom zagraża śmierć.

Do spowiedzi z pozdrowieniem hitlerowskiem. W Gdańsku zaszły godne ubolewania nowe wypadki, świadczące o nieprzebieraniu w środkach walki hitlerowców ze wszystkiem co tylko nie wyszło od hitlerowców i nie posiada znamienia hitlerowskiego, aż do walki z katolicyzmem, w szczególności z katolickiemi organizacjami młodzieży. I tak proboszcz Zimmerman odmówił katolickiego pogrzebu hitlerowcowi Grabowskiemu, ponieważ Grabowski żył w małżeństwie z ewangeliczką i dzieci chrzcił w ewangelickim zborze. To wywołało atak miejscowej gazety hitlerowskiej na owego proboszcza. Kiedy wikarjusz ks. Schliep zaczął na kazaniu mówić o tym wypadku, przybyli umyślnie na ten czas hitlerowcy i zrobili w kościele zamieszanie. Tej samej niedzieli proboszcz Wrana odmówił słuchania spowiedzi młodych hitlerowców, którzy przystępując do konfesjonału, mówili: „Heil Hitler"; proboszcz zwrócił im uwagę, że chrześcijańskiem pozdrowieniem jest: „Grüss Gott". Ponieważ przeciw temu protestowali, odmówił dopuszczenia ich do spowiedzi. Po południu tegoż dnia szła grupka „katolickiego stowarzyszenia młodzieży" na wycieczkę; za nią postępowali hitlerowcy i naigrawali się z młodych katolików. Przyszło do bójki, której rezultatem jest kilku rannych.

Djabły po 15 złotych. W rumuńskiem mieście Temeszwarze od wielu lat uprawiała swe oszukańcze praktyki „czarownica" Berta Zimmerman, która w oszukańczy sposób wywiodła w pole całe zastępy dziewcząt i kobiet. Dopiero obecnie praktykom jej położył kres głośny proces, jaki jej wytoczono. W czasie procesu wyszły na jaw nieprawdopodobne rzeczy. Oto Berta Zimmermann, która nie wygląda bynajmniej jak czarownica i która posiadała wśród swoich „kljentek" panie z najlepszego towarzystwa, miała do swojej dyspozycji aż sześciu djabłów. Jeśli jakaś kljentka zjawiła się u niej ze swojemi dolegliwościami, a były to przeważnie kandytki do stanu małżeńskiego, Berta Zimmerman oświadczała im natychmiast, że może im oddać do dyspozycji djabła Nr. 1 za opłatą 15 złotych (w walucie rumuńskiej). Interwencja djabła Nr. 1 pozostawała jednak bez żadnego skutku, a to dlatego, że zjawiał się djabeł Nr. 2, z którym Berta musiała staczać walkę, znowu za opłatą 15 złotych. Jeśli to nie pomagało, wówczas sprytna Berta dawała kljentkom kawałek ciasta, w którem umieszczone były wszystkie kłopoty kljentek. Ciasto to musiało się zakopać któregoś wieczora poniedziałkowego na cmentarzu. Jeśli to nie pomagało, to dlatego, że wmieszał się djabeł Nr. 3, od którego trzeba się było uwolnić za ponowną opłatą 15 złotych i ofiarowaniem poświęcanej świecy, za którą Berta liczyła sobie słono. Jeśli wciąż jeszcze upragniony mężczyzna nie chciał wejść w związki małżeńskie z tęskniącą do niego kljentką, to trzeba było walczyć z djabłem Nr. 4 za opłatą 15 złotych. Tym razem Berta gotowała dodatkowo wodę w czaszce ludzkiej w obecności swojej kljentki. Dopiero po piątym djable, który kosztował zwyczajnie również 15 złotych, oszukana kljentka opamiętała się i zażądała od Berty zwrotu pieniędzy. Wówczas Berta odpowiadała jej ze śmiechem: „Jeśli mnie pani poda do sądu, przyprowadzę na rozprawę wszystkie moje djabły, które zgładzą ze świata cały sąd". I kljentka rezygnowała zwyczajnie ze skargi, obawiając się tej djabelskiej groźby. Jedna z kobiet, która zeznawała na rozprawie jako świadek, osiągnęła swój cel już po pierwszym djable, ale były takie, które musiały walczyć ze wszystkimi djabłami i zapłaciły za to około 500 złotych, w dodatku bez skutku. Inna znowu kljenta zapłaciła 30 złotych za „materac szczęścia" z jedwabnych wstążek. W ciągu rozprawy zarówno sędziowie jak i sama Berta Zimmerman, wybuchali głośnym śmiechem. Temu to wesołemu nastrojowi, jaki panował na sali sądowej, zawdzięcza Berta to, że sąd skazał ją tylko na dwa miesiące zwykłego więzienia.

Straszna karastrofa w kopalni. W kopalni węgla w Senicy koło Serajewa w Jugosławji wydarzyła się straszna eksplozja, w wyniku której część kopalni została zasypana. W zasypanej kopalni poniosło śmierć około 200 górników. Akcja ratunkowa jest bardzo utrudniona z powodu obsuwania się ziemi i zalewania szybu wodą. Dotychczas wydobyto 47 zwłok.

Brat umarł mu 150 lat temu. Taką odpowiedź dał przed sądem w Londynie pewien świadek na pytanie, czy ma braci lub siostry. Odpowiedź ta w pierwszej chwili wywołała zdziwienie, a wreszcie gniew przewodniczącego, który sądził, że świadek żartuje. Okazało się jednak, że tak nie jest i świadek złożył prawdę, na co złożył dowody. Ojciec jego ożenił się mając lat 19, a pierwszy jego syn krótko po urodzeniu umarł. Mając lat 75, ożenił się ojciec po raz drugi i znowu miał syna, którym jest właśnie świadek, liczący obecnie 94 lata. Otóż od śmierci pierwszego syna, a więc brata świadka, do powtórnego małżeństwa ojca minęło 56 lat, co razem daje 150 lat. Okazało się zatem, że brat świadka istotnie umarł przed 150 laty.

Ciekawy testament pijaka. Ciekawy testament zostawił po sobie pewien obywatel angielskiego miasta Birmingham. Chciał on uwiecznić pamięć po sobie. Dziwak ten złożył w pewnym banku 2.000 franków z tem zastrzeżeniem, aby procenty od złożonego kapitału przeznaczone były na kupno trunków, które będą rozdawane darmo gościom tej restauracji, w której stale przesiadywał zmarły fundator. W tym też celu w restauracji tej ma być umieszczony duży zegar ścienny, który, nakręcony w odpowiedniej chwili ma wyśpiewać: „Wypijemy na zdrowie starego Jacka!" Gospodarz wówczas ma podać obecnym w restauracji gościom podług zlecenia fundatora, każdemu szklankę wódki, przekąskę i kufel piwa. Na wypadek zamknięcia tej restauracji fundator zlecił urządzanie takiej „biby" w drugiej najbliżej na tej ulicy się znajdującej restauracji. A gdyby zaś wprowadzony został zakaz podawania trunków czyli tak zwana prohibicja, wówczas kapitał ten ma być w banku i procentować się tak długo, aż sprzedaż i picie trunków dozwolone znów zostanie.

Góry lodowe na Atlantyku. Statek śledzący za górami lodowemi zauważył w północnej części Atlantyku około 40 gór lodowych, które stanowią niebezpieczeństwo dla okrętów. Wiadomo, że tuż przed wojną światową jeden z największych okrętów na świecie „Titanic" najechał na taką olbrzymią górę lodową, rozbił się, a po kilkunastu minutach zatonął wraz całą załogą i pasażerami. Zauważone góry lodowe gnane wiatrem posuwają się na południe. Wszczęto akcję, celem rozsadzenia tych gór lodowych dynamitem, do czego służy specjalnie na ten cel wyznaczony przez Anglję i Amerykę okręt, polujący na te góry lodowe.

Prochownia wyleciała w powietrze. W pobliżu Czinfoeng wyleciał w powietrze chiński skład amunicji, przyczem blisko 100 żołnierzy poniosło śmierć. Z pod gruzów prochowni dotychczas wydobyto 68 zabitych żołnierzy.

Numera zaległe od Nowego Roku posiadamy w zapasie. Wszyscy nowi Prenumeratorzy dla całości rocznika mogą je nabywać.

Rzeczy ciekawe.

„Święta wojna“ przeciw Chinom.

Na północno-zachodniej granicy Chin grożą powikłania wojenne. Rządzący krajem kapłani tybetańscy postanowili ogłosić świętą wojnę przeciw Chinom. Równocześnie z atakiem Japońskich wojsk na Mongolję ma się zacząć atak wojsk tybetańskich. Na obrazku widzimy kapłana tybetańskiego w uroczystym stroju, po prawej stronie uczniów szkoły klasztornej w Tybecie.





Skąd pochodzi nazwa „Akademja?“

Akademja zawdzięcza swą nazwę pewnej miejscowości w okolicach Aten, poświęconej narodowemu bohaterowi greckiemu Akademjuszowi, z czasów mitologicznych, a która wówczas była własnością Hiparka, syna Pisystrata. Mędrzec ten otworzył w tej miejscowości pierwsze „gimnazjum“. Cymon, syn Milcjadesa, ozdobił miejscowość alejami platanów i cisów. W późniejszej epoce powstały w miejscowości tej świątynie, między innemi świątynia Ateny, otoczona dwunastoma drzewami oliwnemi. Platon bardzo często przebywał w cienistych alejach platanów wspólnie ze swymi uczniami rozprawiając o filozofji. Wyraził nawet życzenie, by po jego śmierci tam go pochowano. Gdy jego zabrakło wśród żywych, uczniowie w dalszym ciągu zbierali się w Akademji. Nazwa ta przeszła do historji na określenie miejsca poważnych rozpraw i wzniosłych debat, zebrań uczonych, poetów i myślicieli.

Największa soczewka w świecie.

Dwadzieścia ton roztopionego szkła wlano do specjalnej formy na największą soczewkę do teleskopu, który używany będzie do badania tajemnic wszechświata. Z okazji rozpoczęcia tej pracy odlewania, przybyli do Corning w stanie Nowy York liczni wybitni uczeni i eksperci, by przypatrywać się tej pracy odlewania.

Przez dziesięć godzin lano tę roztopioną masę ze specjalnego pieca, gdzie rozgrzewana była od 15-go lutego, do specjalnej formy, gdzie obecnie zajmie 10 miesięcy, zanim ostygnie.

Soczewka, to oko astronomiczne, jak ją nazywają uczeni, ma 200 cali średnicy i przez nią będzie można i cztery razy dalej widzieć, jak przez najsilniejsze nowoczesne teleskopy. Przy pomocy tej soczewki astronomowie będą mogli o dziesięć razy szybciej zdejmować fotografje, niż dotychczas, co ma wielkie znaczenie dla astronomji.

Zamiary wyprodukowania tak wielkiej soczewki o 17 stóp średnicy, a 26 cali grubości, powstały przed 5 laty, gdy międzynarodowa rada edukacyjna w Washingtonie przyznała astronomom 6,000.000 dolarów na tę pracę. Trzy lata spędzono na eksperymentach zanim przystąpiono do aktualnej pracy. Następnie poczęto budować specjalne piece i aparaty do odlania tak olbrzymiej soczewki.

Zwierzęta i pogoda.

Że my ludzie stajemy się melancholijni i smutni podczas długotrwałej niepogody, jest rzeczą zrozumiałą, trudniej pojąć, że na niektóre zwierzęta pogoda oddziaływuje w zupełnie przeciwny sposób. Urzędnik w jednym z zoologicznych ogrodów poczynił w tym względzie ciekawe doświadczenie. Lwy, tygrysy i inne zwierzęta z rodziny kotów, obawiając się deszczu, drżą, mruczą i stają się szczególnie dzikiemi. Wilk przeciwnie podczas deszczu jest tak wesoły i uszczęśliwiony, że nikomu nie uczyni nic złego. Podobny stan rzeczy zauważono u wielbłądów, które skaczą i wydają z siebie radosne głosy, a i węże są podczas deszczu bardziej ruchliwe, niż zazwyczaj. — Małpy przeciwnie, wpełzają najchętniej do kąta, siedzą tam całemi godzinami spokojnie, a gdy deszcz zbyt głośno pada na dach ich schronienia, to w celu ochrony przed przypuszczalnem przemoczeniem, trzymają nad głową ręce, jakby parasol.

List miłosny z przed czterech tysięcy lat.

Pieśni miłosne starożytnych Egipcjan nie są już dzisiaj rzadkością — odnaleziono ich niemało. Prawdziwy list miłosny wszakże został — jak donoszą z Londynu — dopiero teraz w Chaldei. Dokument ów, pisany na glinie, pochodzi z roku 2200 przed Chrystusem i odnaleziony został w Sipparze, biblijnem Sepharamni. Tam widocznie mieszkała dama serca, gdy ukochany przebywał w Babilonie.

List brzmi: „Niechaj bóg słońca i Maruduk dadzą ci wieczne życie... Piszę te słowa w pragnieniu wieści o zdrowiu twojem. O! przyślij mi wieść jakąkolwiek. Mieszkam w Babilonie i nie widziałem ciebie, co mnie przejmuje trwogą. Przyślij mi wiado-

mość, kiedy do mnie przybędziesz, tak, abym mógł być szczęśliwy. — Przybądź w Merchewswanie. Bodajbyś żyła jak najdłużej dla mnie".

Z tego wezwania do przybycia w Merchewswanie wynika, że oblubienica jego uczestniczyła wraz z nim w uroczystościach i rozrywkach, jakie były w miesiącu owym urządzane.

Słońce i radjo.

Astronomowie przepowiadają, że rok 1934 będzie szczególnie łaskawy dla radja. Przepowiednia ta oparta jest m. in. na biuletynie dorocznym obserwatorjum w Greenwich, który sygnalizuje znaczne osłabienie plam słonecznych. Intensywność ich zmniejszy się do rozmiarów, nie notowanych od 12 lat.

Sprzyja to emisji radjowej. Siła fal krótkich będzie znacznie wzmocniona, podczas gdy fale średniej długości na przestrzeni najbliższych lat będą osłabione. Fale najdłuższe również będą miały lepsze warunki rozchodzenia się w przestrzeni.

Szklana góra.

Kto nie zna bajki o królewnie mieszkającej na szklanej górze? Ale dotychczas pojęcie szklanej góry istniało tylko w bajce, a tymczasem w Ameryce Północnej, w Yellowstone, istnieje naprawdę góra z masy szklanej, pochodzenia wulkanicznego.

Góra ta powstała z przeźroczystej lawy, istniejącej jeszcze z czasów przedhistorycznych wulkanów, u podstawy zaś jest porowata; skoro oświeci ją słońce, przybiera wygląd niezwykle fantastyczny. Cała bowiem ta szklana masa lśni mnóstwem migocących barw. Przy zachodzie słońca widok tej góry jest nieporównany i prawdziwie cudowny.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Pp.: **Józef Zięba** w N.: Moratorjum znaczy zwłoka. — Monotonność znaczy jednostajność. Reflektować znaczy pobudzić kogoś do zastanowienia się. Strategja oznacza sztukę wojenną, to jest naukę o prowadzeniu wojny. Rygor z łacińskiego, znaczy surowość (n. p. rygor wojskowy), a także ściśle przepisy pewnych ustaw, np. mówi się: pod rygorem prawa. Rewanż znaczy odwzajemnienie. Bigamja znaczy dwużeństwo. Epilog znaczy mowa końcowa, zakończenie poematu. Epilog zawiera nietylko samo zakończenie rzeczy opowiedzianej, ale często także domówienie i wyjaśnienie niektórych szczegółów, umyślnie przez pisarza opuszczonych lub niejasno przedstawionych w toku opowiadania, aby tem więcej zaciekawić czytelników. — Etyka jest wtedy, gdy posiadamy zdolność do oceniania czynów własnych i cudzych pod względem ich wartości moralnej, to jest: czy są dobre, czy złe. Wydając takie sądy o postępowaniu ludzkiem, kierujemy się pewnemi zasadami. Taką zasadą jest naprzykład zdanie, iż czyn, który wypływa z nienawiści nie może być dobrym. Nauka, która zajmuje się ustaleniem tych zasad i wskazuje sposób ich zastosowania w życiu, nazywa się etyką. Etyka jest religijną i stanowi część teologji, jeżeli opiera się na objawieniu i nauce Kościoła. **Władysław Biel** w St. S.: „Wierny syn idei" zamieścimy, zaś utwór „Trzy przyjaciółki" słabszy. **Józef Serafin** w M.: Za pozdrowienia i życzenia serdecznie dziękujemy. Utwory pójdą, podobnie jak poprzednio nadesłane. **Antoni St. Szymański** w H.: Już Panu pisaliśmy, że p. Stapiński wyjechał do Ameryki i adresu jego nie znamy. Winę tylko sam Pan ponosi, gdyż tak długo o zwrot policy asekuracyjnej Pan mu się nie upominał. — **Karol Gajoch** w P.: Może Pan i pojedyńcze numera otrzymać z lat ubiegłych. Przy większej ilości policzymy Panu taniej. **Franciszek Wojnar** w Z.: Skargę skierowaliśmy najpierw do dyrekcji poczt, a następnie poprosimy starostwo w Białej, aby stosunki pocztowe w Zarzeczu do porządku przyprowadziło. **Aleksander Miciński** w Cz.: Po numera z r. 1928 może Pan przyjść, gdy Pan będzie w Krakowie. — **T. Sparrow** (Ameryka): Za tak miły i serdeczny list bardzo dziękujemy. 5 dol. otrzymaliśmy. Okładki wysłane. — Cieszy nas, że tak regularnie tam „Rola" przychodzi. Załączamy serdeczne pozdrowienia.

Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożył Stefan Kulis z Dz.).

■ ☆ ☆ ☆ ☆ Imię męskie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Naprężenie zmysłów.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Kraj w Europie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Drzewo szpilkowe.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Nazwa wojska polskiego.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Zawód.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Roślina.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Inaczej niepogoda.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Sprzęt domowy.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Szata kościelna.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Rzeka w Polsce.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Owoc z obcego państwa.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Poszada człowiek.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Ptak domowy.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Imię męskie.

Początkowe litery wpisane w miejsce kwadracików czarnych dadzą nam imię i nazwisko sławnego poety polskiego.

2. Szarady.

I.

(Ułożył Jan Sobczyk z Cz.).

Musisz być wesoły, gdy w drugie ruszysz,
Pierwsze przyimek, który często słyszysz,
Całość tak czy wspak czytane
Znaczy męskie imię znane.

II.

(Ułożył St. Pawlasek z F.).

Szedł Maciuś do karczmy, gdy ciemna [noc była,
Wtem potknął się i złamała mu się druga [pierwsza,
A tu szatan Kaśkę wtedy nadsyła,
Że Maciuś bez broni, więc Kaśka [est [śmielsza.

Maciuś umykał, lecz już już go Kaśka do- [pędziła,
Wtem ją przestraszyła trzecia czwarta,
Która na przydrożnej gruszy siedziała,
To ocaliło Macieja, bo wróciła Kaśka uparta.

Kończę szaradę jeszcze całość została,
Lecz z nią nie bieda, jest to owad znany,
Którego nawet i Kaśka widziała
I zawsze na drzewie spotykany.

3. Zagadka.

(Ułożył Kazimierz Mazurkiewicz z W.).

Gdzie jest część ciała w tym dwuwierszu:

Najsmutniejsze Polska była,
Kiedy trójca wieszczów żyła.

4. Kwadrat magiczny.

(Ułożył Piotr Nowak z K. W.).

Służy do butelek.
Nazwa zegarka.
Duża ryba.
Miasto w Palestynie.
Nierówności.

Wyrazy w powyższym kwadracie czyta się poziomo i pionowo.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznaczamy dwie książki.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa 4 maja b. r.

Znaczenie zagadek z Nr. 16 „Roli": 1. Konikówka: Zaiste miłe Bogu jest aniołów pienie, ale daleko milsze człowieka milczenie. 2. Szarada: powała. 3. Metagram: końcówka „ak". 4. Łamigłówka: Prawdziwy przyjaciel wart więcej niż złoto. 5. Kwadrat magiczny: Obraz, broda, Romek, Adela, zakaz. 6. Bilet wizytowy: Porucznik.

Dobre rozwiązania w oznaczonym czasie nadesłali pp.: Karol Głowacki z P., Józef Pliszka z W., Michał Szeliga z B., Janina Turska z K., Jan Gofroń z J., Henryk Stefek z Ch., Piotr Nowak z K. W. i Dominik Bukała z Z.

Nagrody otrzymali pp.: Janina Turska z K. i Józef Pliszka z W.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Feliks Kowalczyk.

Odbito w drukarni „Czasu" w Krakowie.

Przewidujący.

— W niedzielę są moje imieniny; gdy przyjdziesz, zapukaj nogą.

— Dlaczego nogą?

— Bo w rękach będziesz miał pewnie podarunki.

Na łożu śmierci.

— Nie martw się Anno, że umieram. Możesz jeszcze wyjść zamąż.

— A ktoby mnie na te kryzysowe czasy wziął? Nie mogłeś to umrzeć przed pięciu lub sześciu laty.

Sprytne dziecko.

— Co zrobiłeś z tymi dwudziestu groszami, które ci dałem, żebyś zażył lekarstwo?

— Za dziesięć groszy kupiłem cukierków, a dziesięć dałem Kaziowi, żeby za mnie wypił lekarstwo.

Giełda płodów rolniczych

z dnia 24 kwietnia b. r.

Pszenica	20·00—20·25	Słoma długa	3·25—3·50
Żyto .	14·00—14·10	Ziemniaki stoł.	4·70—5·00
Owies . .	12·00—12·50	Koniczyna nasienn. czer.	200·00—225·00
Jęczmień .	13·50—14·00		
Fasola biała	28·00—29·00	Mąka żytnia	22·50—22·75
Grech zwyk.	26·00—28·00	Mąka pszen.	36·00—36·50
Siano słodk.	6·50—7·00	Otręby pszen.	10·50—11·00
Łubin żółty	9·00—9·50	Otręby żytnie	10·00—10·50
Konicz. pastew.	7·00—8·00	Mąka czerw.	12·50—13·00

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg.

Podziękowanie.

W. Pan A. Solak, Wytwórnia pras i pasieka
p. Strzelce Wielkie, woj. Krakowskie.

Niniejszem mam zaszczyt podziękować Sz. Panu za otrzymane od Pana prasy do wyrobu węzy, które sprowadziłem jedną dla siebie, a drugą dla swego kolegi. J. Kozielca, z których jestem tak ja, jak również kolega bardzo zadowolony, ponieważ praski są wykonane solidnie, ze znajomością fachową, które węzę dobrze robią i pszczoły chętnie ją wykończają.

Łączymy wyrazy szacunku i poważania

Tylmanowa, 18. II. 1934 r. **Jakób Michalczak**
p. Tylmanowa pow. Nowy Targ.